



NARODOWE
CZYTANIE

NOWELE POLSKIE

FUNDACJA



WOLNOŚĆ
I DEMOKRACJA



SENAT
RZECZYSPOLITEJ
POLSKIEJ



NARODOWE
CZYTANIE

NOWELE POLSKIE



SENAT
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ

Opracowanie:
Halina Wojnarska

Projekt graficzny:
Montownia dizajnu
Anna Plichta

Druk:
Studio Design-Express
Robert T. Mączyński

Teksty nowel oraz logotypy „Narodowe Czytanie”
i „Nowele Polskie” pobrane ze strony www.prezydent.pl

Kochani!

Oddajemy do Waszych rąk zbiór nowel wybranych przez Parę Prezydencką – Andrzeja Dudę i Agatę Kornhauser-Dudę, jako lekturę tegorocznego Narodowego Czytania. Z ponad stu propozycji tytułów przesłanych do Kancelarii Prezydenta prezydent Andrzej Duda i Pierwsza Dama wytypowali osiem utworów. Są to: „Dobra pani” Elizy Orzeszkowej, „Katarynka” Bolesława Prusa, „Mój ojciec wstępuje do strażaków” (ze zbioru „Sanatorium pod Klepsydrą”) Brunona Schulza, „Orka” Władysława Stanisława Reymonta, „Rozdzióbią nas kruki, wrony” Stefana Żeromskiego, „Sachem” Henryka Sienkiewicza oraz „Sawa” (z cyklu „Pamiętki Soplicy”) Henryka Rzewuskiego.

Nowele zamieszczone w niniejszym tomie zaliczają się do klasyki literatury polskiej. Ich autorami są wybitni polscy pisarze, z których dwóch jest laureatami Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Wybrane utwory powstawały w różnych epokach literackich – od romantyzmu przez pozytywizm, Młodą Polskę po dwudziestolecie międzywojenne – i reprezentują różne nurty literackie, różne style. Co je łączy? Wszystkie stanowią część polskiej kultury i tworzą kanon literatury patriotycznej.

7 września w całej Polsce i w wielu miejscach na świecie, wszędzie tam, gdzie mieszkają Polacy, nowele będą publicznie czytane. Zachęcamy Was do przyłączenia się do tej akcji. Poprzez czytanie polskiej literatury, utworów ważnych dla nas, Polaków, będziecie współtworzyć wielką polską rodzinę.

Zapraszamy do lektury!
Zarząd Fundacji Wolność i Demokracja



Maria Konopnicka

1842-1910

Urodziła się 23 maja 1842 roku w Suwałkach, w rodzinie prawnika i miłośnika literatury Józefa Wasiłowskiego, zmarła 8 października 1910 roku we Lwowie (spoczęła na Cmentarzu Łyczakowskim). Najwybitniejsza poetka okresu realizmu, nowelistka, pisarka dla dzieci, krytyk literacki, publicystka i tłumaczka.

Ukończyła pensję sakramentek w Warszawie. Krótko po szkole wyszła za mąż. Zajęła się działalnością społeczną: uczestniczyła w konspiracyjnych i jawnych akcjach jak opieka nad więźniami politycznymi, brała udział w walce o prawa kobiet, współorganizowała międzynarodowy protest przeciwko prześladowaniu dzieci szkolnych we Wrześni i akcję skierowaną przeciw pruskim ustawom wyłączeniowym.

Zadebiutowała wierszem „W zimowy poranek” (1870), jednak sukces odniósł jej cykl „W górach” (1876), przychylnie oceniony przez Henryka Sienkiewicza. Zastępną jako autorka liryk, nowel i opowiadań, wiele miejsca poświęcając w nich tematyce społecznej. Pisała utwory dla dzieci, m.in. „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, „Na jagody” czy „Stefek Burczymucha”.

Szczególną sławę przyniosła jej pieśń „Rota” (1908) po raz pierwszy odśpiewana publicznie 15 lipca 1910 roku w trakcie uroczystego odsłonięcia pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie.

W „Dymie” (1890) pisarka ukazała problem biedy, samotności oraz bezwarunkowej miłości macierzyńskiej.

Dym

Ile razy spojrziała w okno swej izdebki, tyle razy widzieć go mogła, jak z ogromnego komina fabryki walił siwym słupem. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tym była dziwna błogość i jakby pieśczość. Ludzie szli i przechodzili, śpiesząc w różne strony, rzadko który spojrział w górę w kierunku komina, jeszcze rzadszy zauważył siną smugę dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym brzasku na opalowym, mieniącym się barwami jutrzni tle nieba, dym rozkłębiał się nad kominem w krągłych, czarnych runach, roznosząc ostrą, gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcys w kotłowni przy palenisku stoi, ogień zanieca, miarkuje, rozkłada, wysoki, smukły, gibki, w granatowej płócienną bluzie, spiętej skórzanym pasem, w lekkiej furażerze na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem.

– Oho! – szeptała wtedy, uśmiechając się – Marcys „fasuje”...

Istotnie „fasował”. Z gorliwością nowicjusza sypał na palenisko węgiel, kosz za koszem, za siebie i za palacza pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchały mu w duszy pieśni, którymi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

Wkrótce jednak czarne kłębiska dymu białaly, rzedyły, stawały się lżejsze, aż wskroś pogodnych błękitów wybiły w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

– Wszystko dobrze... – szeptala. – Wszystko dobrze, Bogu Najwyższemu dzięki!

I krzątała się po ubogiej izdebce, zaścielając łóżko swoje i synowski tapczan, zamiatając śmieci starą brzoźową miotłą i rozpalając na kominku drewka do południowego posiłku.

Wtedy to na wprost wielkiego fabrycznego komina z wspaniałą kitą dymu wznosiło się w błękitny cienkie, sinawe pasemko sponad dachu facjatki, gdzie mieszkała wdowa; pasemko tak wątle i nikłe, jak tchnienie starych piersi, co je wydobywały z ogniska.

Ale młody kotłowy zawsze to pasemko dostrzegał. A nie tylko je dostrzegał, ale się do niego uśmiechał. Wiedział on dobrze, że tam, u komina, stara jego matka w bieluchnym czepcu na głowie, w tołubku przepasanym różowym fartuchem, drobna, zawiedła, zgarbiona szykuje dla niego jakiś barszcz wyśmienity lub wyborny krupnik. Zdawało mu się nawet czasem, że wyraźnie czuje smakowitą woń tych specjalów.

Z podwójnym tedy zapalem dorzucał na palenisko świeżą szufłę węgla i podczas kiedy palacz po głowie się drapał, on, stojąc jedną nogą na podmurowaniu, zwinny i giętki, za dwóch nastarczał w robocie.

I tak naprzeciw siebie szły w niebo te dwa oddechy: fabryki i facjatki, niknąc w przejrzystych lazurach, może łącząc się w nich nawet.

Ku południowi dym fabryczny rzedniał nieco; olbrzymie płuca machin zwalniały swą pracę, wypuszczone pary przesywały raz i drugi powietrze ostrym, przykrym świstem, a chłopak, jak huragan, do izdebki wpadał.

– Mamo, jeść – wołał już od progu, a cisnąwszy furazerkę na stół, biegł do klatki z kosem, wiszącej w okienku. Kos, jak tylko chłopaka obaczył, wydawał gwizd przeciągły, do fabrycznej świstawki podobny, a potem zaczynał swoje zwykłe kuranty, których go nauczył Marcys. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie i gwizdał także. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną, żółtą serwetę, w niebieskie jelenie wyrabianą, i stawiała głęboką fajansową wazkę krupniku, barszczu z rurą albo grochówki z wędzonką, albo też zacierek, jak tam wypadło. Obok wazki występował na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posiłku podstawa.

Znikał on też prawie w połowie, ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawal za kawalem krajał, w miseczce z solą maczał, a precz dogadywał:

– Dobry chleb, mamo!

– Dobry, synku – odpowiadała za każdym razem wdowa. – Jedz z Bogiem, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi i Matce Jego Przenajświętszej...

Chłopak nie dawał się prosić, a razem z chlebem znikala i zawartość misy.

– Dobry barszcz, mamo – mówił wtedy.

Matka już od kilku chwil jadła coraz wolniej. Mieszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak wymiotł, co miał przed sobą, i wąsiki runiejące wierzchem ręki otarł, pytała skwapliwie:

– A może byś, synku, jeszcze... Mnie dziś coś nie bardzo jakoś...

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje, ale bała się wyraźnym kłamstwem Boga obrażać, bo barszcz był doskonały.

– Ano – mówił chłopak – kiedy mama nie je...

Podstawiała mu z pośpiechem swój talerz, mówiąc:

– Jedz, dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi...

Chłopak tedy znów się zabierał do łyżki po swojemu.

– Co mama chce od tego barszczu? – pytał. – To królewski barszcz!

– Byłby on, byłby, synku – odpowiadała, mrugając oczami – tylko że mi do niego bobkowego liścia przybrakło...

Zdarzało się, że nie dojadł.

Zlewała wtedy resztę w glinianą ryneczkę i stawiała w kominku, tak aby syn nie spostrzegł tego...

Tę resztę uważała już za wyłączną swoją własność i kiedy chłopak wyszedł, posilała się nią, dogryzając ostatków chleba.

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo zastępowany tylko bywał w południe i śpieszyć się musiał. Za ledwie zjadł, żegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną wychudłą rękę, chwytal furazerkę, a gwizdnąwszy na pożegnanie kosowi, zbiegał w trzech susach z facjatki na dół. Wdowa stawała wtedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w ręku i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

– Święty Antoni! – mówiła, kręcąc głową. – Z leczeniem takim! Nogi jeszcze pola-mie... schody porozbija...

I stała tak zasluchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kanonady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki, ogarniała ogień popiołem, a siadłszy u okna, latała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo długo widzieć mogła dym wałący z fabrycznego komina. Czasami to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki...

Dziwne bo przybierał kształty i barwy.

To jak żelazna gadzina wywijal się sam z własnych przegubów, coraz dalej, coraz wyżej; to jak leciuchna zasłona w powietrzu wiał, siejąc przed siebie obłoczki różane; to jak z kadzielnicy prosto w górę szedł, welniąc się miękko po krajach; to jak olbrzymi pióropusz pod słońce się palil, z komina jak z helmu, za wiatrem wiejąc; to się w jakiejś postaci cudne wydłużał, w jakieś mary nieziemskie, jakieś widzenia...

Czasem go wiatr wydymał jak żagle wielkiego statku; czasem rozrywał niby kłęby pakul; czasem pędził jak tuman czarniawy. A zadźdżyło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał, i płatami po dachach się wieszał, i tłukł nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dźać.

Gdy przyszła zima, zapalala wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy.

Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby zalatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego co raz, żeby na fabrykę spojrzeć.

Gorzala ona wprost facjatki długim szeregiem oświetlonych okien, huczala wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękala żelastwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żadłami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granitu niebios walil z jej komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskal jak race.

Szerokie luny od niego skroś nieba szły i het, precz, odbijały wielkie ciche zorze...

Patrzała na nie wdowa w zadumaniu.

Z zadumy tej wrywało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącym z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, cale ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn i od progu już znowu wołał:

– Mamo, jeść!...

A razem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progi izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwilkę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, po czym zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawil go już w takiej chwili.

– Idź spać, synku, idź spać! – mówiła matka, głaszcząc go po głowie. – Bo to jutro do dnia ci znów trzeba...

– Pójdę, mamo... – odpowiadał sennym głosem. – Zmordowałem się tak, że to ha!

– A pacierz, synku, zmów – przypominała jeszcze.

– Zmówię, mamo.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i schyliwszy głowę na złożone dłonie, odmawiał szybko półgłosem „Ojczy nasz” i „Zdrowaś”, tu i ówdzie przerywając modlitwę potężnym ziewnięciem, po czym bił się halaśliwie w piersi, żegnał z rozmachem i zdjąwszy pośpiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce slychać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczerniałym, ze złocistego tła wychylającym się obliczem Panny Najświętszej.

Nareszcie lampka gasła, kos przestawał się trzepotać po klatce, uciszało się wszystko, aby znów jutro o brzasku się zbudzić.

Z tym budzeniem była zawsze bieda. Wdowa sypiała tym snem starości krótkim, czujnym, jakby oszczędzającym godzin życia przed wielkim zaśnięciem w mogile.

Ze snu tego budziła się po drugich kurach zaraz, na długo przed pierwszą gwizdawką fabryczną, i zwlókłszy się z pościeli, dreptała po izdebce, szykując polewkę dla syna i szepcząc godzinki. W okienku stała wtedy wielka i cicha gwiazda zaranna, wprost na twarz uspiętego chłopca świecąca. Matka co raz to na twarz tę powiodła oczyma. Rada by już zbudziła jedynaka swego, ale głębokie uspienie chłopca wstrzymywało ją.

– Niech ta! – szeptała półgłosem. – Niech ta jeszcze ździeblucho pośpi...

Dopiero kiedy się rozległ przeraźliwy świst puszczonej pary, wołała na chłopca:

– Marcys! Marcys! Wstawaj, synku! gwizdzą...

Chłopak odwrócił głowę do ściany.

– To kos, mamo... – mówił w półprzytomnie.

– Ale! kos tam! We fabryce gwizdają, synku, nie kos!

Przeciągał się, nakrywał z głową, mruzczał, ale matka nie ustępowała. Nocny dyżur się kończył, kotłowy na swoim miejscu pierwszy stanąć musiał przed robotnikiem jeszcze. Powtarzało się to cały tydzień Boży, niedzieli nie wyjmując nawet.

Ale jednego razu, kawał jeszcze do ranka było, chłopak się z krzykiem ze snu porwał sam i na pościeli siadł.

Matka już była przy nim.

– Co to? Co ci, synku, co? – pytała troskliwie.

Nie odpowiadał. Patrzal na nią szeroko otwartymi oczyma, usta miał drżące, czoło w zimnym pocie. Rozpięta na piersiach koszula podnosiła się od mocnych, głośnych prawie uderzeń serca.

Objęła go ramionami matka.

– Co ci to, synku, co ci to? – pytała, tuląc chłopaka jakby małe dziecko.

Długo uspokoić się nie mógł.

– Nic, mamó – przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem – nic... – Tylko śniło mi się... że... piorun uderzył we mnie.

Wdowa ścierpła. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiązł jej w piersi.

Chłopak siedział na tapczanie sztywny, prosty, patrząc przed siebie wystraszonym wzrokiem.

– Piorun, mamó – mówił cichym, urywanym głosem – taki czerwony, straszny, jak smok. Na piersi mi padł, mamó... taki straszny... czerwony...

Umilkł i dyszał głośno.

Wdowa opanowała się jakoś.

– Co tam, synku! – mówiła, głaszcząc go po rozpalonym policzku. – Co tam!... Sen mara, Bóg wiara. Co tam, synku!

A gdy chłopcu głośno zaszczekały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych piersi i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszkę opadł.

– Niech mama już idzie – rzekł. – Niech mama idzie, połóż się... Ja usnę...

Ale nie usnął. Leżał na wznak, z otwartymi szeroko oczyma, wpatrzony w gasnące na wschodzie nieba gwiazdy.

Spojrzała na niego raz i drugi.

– A czemu nie śpisz, synku? – spytała.

– Nie mogę, mamó... – odpowiedział cicho, skarżącym się głosem.

Podeszła i siadła przy nim.

– Nic się nie trap, synku! – przemówiła. – Nic się nie trap! Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny pioruny w niebie chowa, żeby zaś nimi wdowie niebogiej jedyne syneczka ubijać? Nie da tego Pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza... A ja ci to powiem, że piorun wesele znamionuje, kiedy się kawalerowi albo pannie śni. Ot co, widzisz, piorun znamionuje... Przecie sennik mam, to wiem.

Mówiła to z uśmiechem, wesoło niemal, ręką wyschłą po czole jego wodząc i włosy mu gładząc, aż chłopak dobrej myśli zaczął być i też się uśmiechnął.

– To mama mówi, że wesele? – spytał.

– A przecie, że nie co! Wesele, huczne wesele...

Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

– To ja już wstanę, mamó...

– Wstań, synku, wstań... Zgotuję śniadanie, jak sobie podjesz, to cię to odejdzie.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka niż zwykle w izdebce, bo chłopak,

czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na prześcigi z kosem gwizdał, aż ptaszysko zachrypló i kiedy przyszło do Zosi, co jej się chciało jagódek, gwizdało tak żałośnie, jakby kto przez nos śpiewał. Uśmieł się Marcyś, uśmieła się matka i tak się w radości rozstali. Kiedy wyszedł, wdowa stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała oddalających się kroków. Lekkie były, rażne, swobodne, zwyczajnie młode nogi... Nawet spaczone i spróchniałe schody nie skrzypiały dziś tak, jak zazwyczaj. Dopiero kiedy chłopak drzwi za sobą zatrzasnął, rzuciło się w niej serce jakimś nagłym strachem, tak loskot ich był głuchy, podziemny i takim przeraźliwym echem odbił się w pustych sieniach. Podbiegła do okienka, aby wyrzeć za synem.

Szedł lekko, śpiesznie, z podniesioną głową, a kiedy miał już przejść furtkę w fabrycznym murze, odwrócił się i spojrzał w górę. Może w okienko, a może tak sobie...

W chwilę później gęsty, czarny dym walil z fabrycznego komina.

Godziny upływały. W schludnie sprzątniętej izdebce zrobiło się cicho; stary zegar z jaskrawą różą na poźółklej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najweselszych kurantów, pociesznie walcząc z swym ochryplym głosem, a wdowa, może z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przeglądała swe odświętne odzieże.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zatrzęsły się ściany, posypał gruz z komina. Okienko z szczękiem wypadło. Wielki, iskrzasty słup dymu buchnął w niebo razem z fontanną cegiel i wielkimi odłamami rozwalonego komina, wypełniając izbę przeraźliwym blaskiem. Wdowa, jak stała, tak skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszerzone źrenice zbieleły, jakby u trupa, nagle jakąś zgrozą...

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy:

– Kotłowy!... kotłowy zabity!

Długie jeszcze potem lata siadywała w tym samym okienku, patrząc osowiałym, smętym wzrokiem na fabryczny komin, z którego były w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zamienił się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stolka i wyciągała drżące, wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach...



Eliza Orzeszkowa (z domu Pawłowska)
1841-1910

Urodziła się 6 czerwca 1841 roku w Milkowszczyźnie koło Grodna, zmarła w Grodnie 18 maja 1910 roku. Pisarka, publicystka, jedna z najwybitniejszych twórczyń epoki pozytywizmu.

Pochodziła z zamożnej rodziny szlacheckiej. Kształciła się na warszawskiej pensji sióstr sakramentek, gdzie jej koleżanką była późniejsza pisarka Maria Konopnicka. Po wyjściu za mąż zorganizowała szkółkę dla dzieci wiejskich. Kiedy wybuchło powstanie styczniowe, zaangażowała się w pomoc partyzantom, ukrywała nawet przywódcę zrywu Romualda Traugutta.

Debiutowała w 1866 roku opowiadaniem „Obrazek z lat głodowych”. Ważną pozycją w jej dorobku jest powieść „Nad Niemnem”. W swej twórczości podejmowała postulaty epoki pozytywizmu: praca u podstaw, asymilacja Żydów, emancypacja kobiet, podejmowała również tematykę patriotyczną.

Była dwukrotnie nominowana do Nagrody Nobla. Jej utwory przetłumaczone zostały na blisko 20 języków.

Nowela „Dobra pani” (1888) obnaża fałsz stojący często za realizacją pozytywistycznego hasła filantropii.

Dobra pani

Prowadzone za rękę przez Janową, żonę mularza, weszło maleństwo do pięknego salonu pani Eweliny Krzyckiej, wylękle i zachwycone, drobnymi kroczkami drepczące po śliskiej posadzce, gotowe – stosownie do okoliczności – wybuchnąć płaczem albo i śmiechem. Koralowe usteczka drżały i krzywiły się do płaczu, wielkie, szafirowe źrenice paliły się od zdumienia i ciekawości, a ślicznie wykrojone czoło otaczały gęste, gęste włosy z barwą i gorącymi połyskami ciemnego złota. Była to pięcioletnia dziewczynka, bardzo ładna. Obok prowadzącej ją barczystej i silnej kobiety w swej perkalowej, długiej aż do ziemi sukieneczynie przypominała białawego motyla ze zwiniętymi skrzydłami. O kilka kroków od progu drgnęła z przestachu i już, już krzyknąć miała wniebogłosy zapewne, lecz nagle wrażenie trwogi ustąpiło snadź przed uczuciem radości, bo gwałtownie wyrwijąc rękę swą z grubej dłoni Janowej i przysiadając na posadzce, ze śmiechem i czułością niezmierną wołać zaczęła:

– Ciucia! Ciucia!

Pierwsze spotkanie, groźnie zrazu zapowiadające się, przybrało charakter całkiem przyjacielski. Malutki pinczerek, który rzucił się był na wchodzące osoby z zajadłym i piskliwym szczekaniem, stanął przed siedzącym na ziemi dzieckiem i wpatrywać się w nie zaczął parą czarnych, błyszczących, pojętnych oczu. Dziecko zatopiło w śnieżnej, ogromnej jego sierści dwie malutkie, czerwone rączki. Lecz w tejże chwili nad dwojgiem zaznajamiających się z sobą istot stanęła kobieta około czterdziestoletnia, jeszcze piękna brunetka, wysoka i czarno ubrana. Mularzowa schylona we dwoje całowała białą jej rękę.

– Helka! czemuż wielmożną panią w rękę nie całujesz! patrzcie ją! z psem się już bawi! Niech wielmożna pani nie gniewa się na nią! To jeszcze takie głupie!

Ale pani Ewelina gniewać się ani myślała. Przeciwnie, czarne oczy jej pełne ognia i czułości z wyrazem zachwycenia tkwiły w twarzyczce dziecka, którą Janowa grubą swą ręką ku niej wznosiła. Helka miała teraz lzy w szafirowych źrenicach i obydwoma rękami trzymała się spódnicy Janowej.

– Robiliśmy, wielmożna pani, dla dziecka tego wszystko, cośmy mogli, ale, zwyczajnie u biednych ludzi, grzeczności nie nauczyła się... Ot, teraz dopiero Pan Bóg los jej zsyła... sierocie!

– Sierota! – ze wzruszeniem powtórzyła pani Ewelina i pochyłona nad dzieckiem chciała zapewne wziąć je w ramiona. Lecz nagle cofnęła się. Wyraz litości twarz jej okrył.

– O! Biedactwo! Jakże to ubrane! – zawołała. – Sukienka długa aż do ziemi...

Zaśmiała się.

– A koszula jaka gruba i włosy!... Ona ma cudowne włosy, ale któż to takiemu dziecku spleta warkocze!... Trzewiczki jakie grube i bez... bez pończoszek...

Wyprostowała się, palcem dotknęła srebrnego dzwonka, na przeciągły, ostry dźwięk którego Helka zaśmiała się, a Janowa szeroko otworzyła oczy.

– Panny Czernickiej! – rzekła krótko do zjawiającego się w drzwiach lokaja.

W mgnieniu oka pośpiesznym bardzo krokiem weszła kobieta trzydziestoletnia, w czarną, obcisłą suknię ubrana, wysoka, chuda, z cerą ciemną i zwiędłą, z czarnymi włosami spiętymi z tyłu głowy wysokim szyldkretowym grzebieniem. Od progu bystre jej oczy obrzuciły mularzową i przyprowadzone przez nią dziecko chmurnym wejrzeniem, lecz gdy znalazła się o kilka kroków od pani swej, wzrok jej zabłysnął najpiękniejszą pogodą, a na wąskich, zwiędłych wargach osiadł pokorny i przymilający się uśmiech. Pani Ewelina, ożywiona bardzo, zwróciła się wnet do niej:

– Moja Czernisiu, widzisz, to owo dziecko, o którym wczoraj ci mówiłam. Przypatrz się tylko! co to za rysy... jaka delikatność cery... a oczy... włosy... gdyby tylko troszeczkę utyla i nabrała rumieńców, można by ją drugiemu jakiemuś Rafaelowi za model do cherubinka przedstawić... Przy tym sierota!... wiesz, jakim wypadkiem znalazłam ją u tych poczciwych ludzi... w takim smutnym domostwie... wilgotnym, ciemnym... Zaświeciła mi tam przed oczami jak perła na śmietniku... Bóg mi ją zesłał... Ale moja Czernisiu! Trzeba ją wykapać, uczesać, ubrać... zmiluj się! Za godzinę, za dwie najdalej, niech mi to dziecko zupełnie inaczej wygląda...

Czernicka uśmiechała się rozkosznie, ręce u piersi gestem zachwycenia spletała, na znak pośpiesznego przytwierdzenia wszystkiemu, co pani jej mówiła, głową trzęsła. Pani

Ewelina była w humorze wybornym. W wyborny też humor wpadła chmurna i posepna u wejścia panna służąca. Jak wprzód Helka przed pieskiem, tak teraz ona przed Helką na ziemi przysiadła i do dziecka, dziecinne szeplenienie naśladowując, szczebiotać zaczęła. Potem z trudnością wielką, lecz starannie ukrywaną pochwyciła Helkę w swe suche, sprężyste ramiona, znad ziemi uniosła, do piersi przycisnęła i twarz jej świszczącymi pocałunkami okrywając, z salonu ją wyniosła. Pani Ewelina, rozpromieniona i od lez rozrzewnienia zaledwie wstrzymać się mogąca, przez chwilę jeszcze rozmawiała z Janową, która niezmierną dobrocią jej ośmielona i także rozrzewniona płakała i po raz wtóry opowiadała historię Helki, sieroty po krewniaku jej, tak samo jak mąż jej mularzu, który z rusztowania spadłszy, zabił się na śmierć, po czym prędko i żona jego, a Helki matka, z cholery umarła. Sierota po ojcu i matce! Obie kobiety, wdowa po bogatym panu i żona mularza, rozrzewniły się do lez na dźwięk tego słowa. Pani Ewelina chwaliła bardzo Janowej i mężowi jej uczucie chrześcijańskiego miłosierdzia, z jakim przytuliła do siebie to biedne a takie śliczne dziecko; Janowa, sławiąc dobroć i miłosierdzie pani Eweliny, dziecko to pod stałą opiekę swą przyjmującej, policzki swe, i bez tego czerwone, do krwistej barwy rękawem lustrynowego kaftana natarła. Skończyło się na tym, że mularzowa byłaby na klęczki przed panią Eweliną upadła, aby skraj sukni jej, niby świętej, ucałować, lecz pani Ewelina powstrzymała ją słowami, że przed Bogiem tylko na klęczki upadać trzeba, po czym prosiła mularzową, aby wzięła od niej kilka rubli na cukierki dla dzieci swoich. Teraz Janowa zaśmiała się przez lzy rubasznie i wesoło.

– Dam ja im cukierki! – zawołała. – Albo to pańskie dzieci, żeby im cukierków trzeba było. Jeżeli już wielmożna pani tak łaskawa, to za pieniądze te sprawię Wickowi buty, a Marylce i Kaśce chusteczki na głowy...

Na koniec pożegnały się. Janowa w powrocie do chaty swej ze dwadzieścia razy zatrzymała się na ulicach miasta przed dwudziestu napotkanymi osobami, sławiąc anielską dobroć i miłosierdzie pani Eweliny. Pani Ewelina zaś po odejściu Janowej osunęła się na kanapę i wsparła na białej dłoni czoło obciążone tęskną i zarazem rozkoszną zadumą. O czym myślała? O tym zapewne, że Bóg w nieprzebranej dobroci swej zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca... Promieniem tym miała jej być odtąd śliczna ta sierotka wypadkiem wczoraj znaleziona, a dziś za córkę przez nią przybrana... O, jakże ona kochać będzie to dziecko! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napelniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, taki grobowy chłód ją ogarniał. Już, już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatię lub w ciemną melancholię wpaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad

nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to tracić nie należy... Byleby Czernisia prędko oczyściła i ubrała tego aniolka...

Tu zaduma pani Eweliny przerwana została przez dwie kosmate łapki, które wspinając się na jej kolana, zaplątywały się w koronki jej sukni, a ostrzem pazurków dosięgały jej ręki. Obudzona, wzdrygnęła się i gniewnym gestem odtrąciła od siebie natrętnego pieska. On gniew jej wziął za wesołe żarty. Zbyt długo snadź był kochanym, aby móc łatwo w odtrącenie uwierzyć. Zaskomlił radośnie i znowu kosmatymi łapkami darł koronki i drapał atlasową rękę swej pani. Tym razem poskoczyła z kanapki, zadzwoniła.

– Panny Czernickiej! – rzekła do zjawiającego się lokaja.

Czernicka wbiegła zdyszana, z rumieńcami na ciemnych policzkach, z rękawami czarnej sukni zawiniętymi po łokieć.

– Moja Czernisiu! weź, proszę cię, Elfa i niech on tam przy tobie, w garderobie, zawsze już będzie. Drze mi koronki, nudzi mię...

Kiedy panna służąca schyliła się, aby wziąć pieska, na wąskich wargach jej przemknął uśmiech szczególny. Było w nim trochę szyderstwa, trochę smutku. Elf warknął, cofnął się i przed ujmującymi go kościstymi rękami uciec chciał na kolana swej pani. Ale pani Ewelina usunęła go z lekka, kościste zaś ręce pochwyciły tak mocno, że aż zaskomlił. Czernicka bystre spojrzenie przez mgnienie oka zatopila w twarzy swej pani.

– Jaki ten Elf zrobił się nieznośny... – szepnęła nie bez pewnego wahania w głosie.

– Nieznośny! – powtórzyła pani Ewelina i z gestem niechęci dodała: – Nie pojmuje już, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne stworzenie...

– O! on był kiedyś wcale innym!

– Nieprawdaż, Czernisiu, wcale był innym. Był kiedyś prześlicznym... Ale teraz...

– Teraz zrobił się nudnym...

– Okropnie nudnym... Weź go do garderoby i niech się już nigdy nie pokazuje w pokojach...

Czernicka była już u progu, gdy usłyszała znowu:

– Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilonym uśmiechem.

– Cóż tam z naszą małą?

– Wszystko będzie wedle rozkazów pani. W łazience wanna już gotowa, Paulina kąpać będzie Helkę...

– Panienkę! – od niechcenia przerwała pani Ewelina.

– Panienkę... Ja kroję sukienkę z tego błękitnego kaszmiru, co to w komodzie...

– Wiem, wiem...

– Kazimiera pobiegła do sklepu z obuwiem, Janka posłałam do sklepu z gotową bielizną... sukienkę choć sfastryguję tymczasem... tylko proszę panią o koronki, wstążki i pieniądze na wszystko...

Koronek, wstążek, tiulów, gaz, kaszmirów, atlasów pełno było w szafach i komodach napelniających sobą kilka pokojów obszernej i pięknie urządzonej willi pani Eweliny. Czernicka dość długo otwierała i zamykała szafy i szuflady, nie przestając przecież ani na chwilę ścisnąć w dłoni banknotu sporej wartości. Potem był w garderobie wielki gwar zażartego targowania się i kupowania; potem jeszcze spora część wyjętych z szaf i komód przedmiotów, jako też część wartości rozmienionego banknotu znikły w przepaścistym kufrze stanowiącym osobistą własność panny służącej. Na koniec z wypogodzoną twarzą, widocznie zadowolona zyskiem z przybycia do domu sierotki otrzymanym, pośpiesznie zaczęła ona fastrygować i szpilkami upinać naprędce sporządzoną sukienkę. Nazajutrz dopiero krawcy, szewcy i szwaczki rozpocząć mieli formalną robotę około garderoby panienki. Tymczasem zaś panienka ta wykąpana już i uczesana, lecz jeszcze w grubej koszulinie swej i z bosymi nóżkami siedziała w pokoju Czernickiej na ziemi i wśród najczulszych pieszczot z Elfem zapominać zdawała się o całym świecie.

O całym świecie też zapomniwała utopiona w głębokiej zadumie pani Ewelina. Zadumy tej nic już teraz nie przerywało. W obszernym salonie, świetnym od przystrajających go zwierciadel, obrazów i pąsowych adamaszków, panowała cisza głęboka. Przez półotwarte portiery widać było kilka większych i mniejszych pokojów pograżonych również w ciszy i półcieniu. Ukośne promienie zachodzącego letniego słońca, wnikając przez szczeliny zapuszczonych żaluzji, ślizgały się tu i ówdzie po ścianach, kobiercach i złoconych ramach obrazów. Zza okien dochodziły wonie rozkwitłych róż i świegoty ptactwa, w głębi domu, w sali jadalnej, z cicha pobrzękiwały ustawiane do wieczery naczynia.

Pani Ewelina dumiała o swej niedoli. Nie przesadzała bynajmniej, myśląc, że jest bardzo nieszczęśliwą. Istotnie, wdowa od lat wielu, bezdzietna, z sercem gorącym a samotnym, nie była nawet tak bogatą, aby móc zawsze przebywać tam, gdzie życie przedstawiało dla niej najwięcej jeszcze uroków, a najmniej smutków i znudzenia. Majątek jej był wprawdzie znacznym, nie tyle jednak, aby kłopoty i interesy różne nie przykuwały ją niekiedy i na czas pewien do tak brzydkiego, smutnego, nudnego miejsca, jakim jest Ongród. Teraz szczególnie z pięknymi i obszernymi dobrami posiadanymi przez nią w okolicach Ongrodu stało się coś niezwykłego. Były tam jakieś umowy do zawarcia, jakieś długi do spłacenia, jakieś nieuniknione gospodarskie wydatki do poniesienia – a wszystko to odejmowało pani Ewelinie wszelką możliwość wyjechania za granicę albo przynajmniej zamieszkania w największym z miast krajowych. Przebyła więc tu blisko już dwa

lata, lata ciężkie, nużące. Obca wszystkiemu i wszystkim, otoczona prozaicznymi widokami małego miasta, tęskniąc do wzniosłych artystycznych uciech, które stanowiły dotąd największy urok jej życia, a których naturalnie tu całkiem pozbawioną była, żyła ona jak pustelnica, zamknięta w willi swej z obrazami swymi, fortepianem, Czernisią i Elfem. Życie jej tu o tyle czyste było, o ile smutne, a jednak spokój sumienia nie był zupełnym. Nie czyniła nic dobrego i wyrzucała to sobie często i gorzko. Żądza czynienia dobrze była jedną z najżywiej drgających strun jej ducha. Dobroczynność sięgała w niej stopnia namiętności i wiele, wiele razy w życiu przynosiła jej uciechy moralne zastępujące szczęście, którego nie zaznała nigdy. Lecz... bywało tak gdzie indziej. Tu nie wiedziała nawet, jak i co czynić, aby najgłębszą potrzebę szlachetnego serca swego zaspokoić. Wprawdzie, kiedy niekiedy tym i owym dawała ona hojne jałmużny, ale nie czyniło to zadość sercu jej ani wypełniało czasu, ani zadowolić mogło sumienia. Ona w wielkich miastach przywykła do dobroczynności pracowitej, czynnej, pod wodzą światłych kierowników duchownych dokonywanej, a oddające się jej osoby prowadzącej na strychni wysokich kamienic, w ciemne suteryny, do przytułków i ochron, nad stoliki ze srebrnymi tacami w przedsionkach świątyń umieszczone itp. Niedostatek sposobów do wykonywania takiej właśnie dobroczynności, dręcząc ją, dolewał jedną więcej kroplę do gorzkiego jej kielicha. Nagle w Ongrodzie uformowano tak zwane Towarzystwo Dam Dobroczynnych. Pani Ewelina jako najmajętniejsza zapewne mieszkanka miasta do wzięcia udziału w czynnościach towarzystwa tego wezwaną została. Była to pierwsza radość, jakiej od lat dwu doznała. Będzie więc mogła czynić dobrze! Siły serca, których tyle czuła w sobie, znajdą dla siebie ujście jakies! Oko jej zazna jeszcze roszącej je zazwyczaj na widok nędz ludzkich lzy litości i rozrzewnienia! O ucho jej objiją się dziękczynne i błogosławiące wyrazy tych, pośród których zjawi się niby anioł pomocy i pocieszenia! Stała na wezwanie natychmiast. Wskazano jej dzielnicę miasta, w której wyszukiwać miała ubogich. Szukała. Szukając, zaszła wypadkiem do domostwa zamieszkiwanego przez rodzinę mularza i zobaczyła Helkę. Dziecko przedstawiło się jej w malowniczej jakiejś pozie. Bawiło się podobno z psem czy z kotem, czy może siedziało przed progiem chaty oblane słońcem, które we włosach jej rozpalalo ogniste błyski, czy może jeszcze zdumione widokiem powozu, koni i pięknej, strojnej kobiety, stanęło w progu jak wryte i utkwilo w niej dwoje źrenic, w których ona dojrzała upalny szafir włoskiego nieba – dość, że od razu wydało się jej niezwykle, prześlicznym i że gdy przyłożyła usta swe do policzka dziecka, na którym istniały jeszcze ślady tylko co jedzonego krupniku ze słoniną, pomimo śladów tych serce jej uderzyło żywiej i na dźwięk wymówionego przez Janową wyrazu: „sierota!” lza litości i rozrzewnienia zrosiła jej oko. Zapragnęła dziecka tego, zapragnęła go

na wyłączną swą własność z zapalem i mocą duszy namiętniej jak wulkan, a samotnej jak lódź na burzliwych przestworzach morza zblakana... Teraz przedmiot ten pragnień jej był już pod jej dachem. Oddano go jej na zawsze i zaprawdę, bez trudności! Teraz kochając dziecię to, uspokoi tęskniące swe serce, a osłaniając je macierzyńskimi skrzydłami, zadowoli sumienie swe rozkazujące jej czynić dobrze!... Lecz gdzież ona jest, prześliczna dziecina ta? Gdzie jest ten zesłany jej przez Opatrzność anioł pociechy i ukojenia? Dlaczego Czernisia nie przyprowadza jej dotąd? Biedactwo! jeszcze pewnie nieubranel! Ale że umyte już i wykapanie, to pewna. Trzeba by pójść do pokoju Czernickiej, uściskać je, ucałować, do serca przytulić...

Zerwała się z kanapki, biegła przez salon i w połowie drogi ze splecionymi u piersi rękami stanęła. W drzwiach przeciwległych ukazała się Czernicka prowadząca za rękę Helkę, ale jakże zmienioną! Jakaż metamorfoza! Białawy motyl ze zwiniętymi skrzydłami przemienił się w świetnego kolibra. Różowe wstążki niby piórka czy skrzydełka pstrzyły błękitną sukienkę. Z puchów białych koronek wysuwały się okrągłe nóżki ociągnięte pończoszkami delikatnymi jak sieć pajęcza a niknącymi w malutkich, błękitnych trzewiczkach; ogniste włosy utrefione, woniejące trzymała w karbach opaska z szyldkretu. Stojem tym zachwycona i strwożona, wonią ulatującą z włosów jej i koronek upojona, Helka stała w progu salonu z ustami znowu do płaczu skrzywionymi, ze szczupłymi ramionami sztywnie w obawie zgniecenia sukni rozpostartymi w powietrzu, z oczami, które to spuszczały się ku cudownym trzewiczkom, to podnosiły się ku twarzy pani Eweliny nieśmiale i wilgotne. Pani Ewelina poskoczyła i pochwyciwszy ją w objęcia, teraz dopiero okrywać ją zaczęła gorącymi pocałunkami. Potem poprowadziła dziecko do sali jadalnej, gdzie wraz z nim usiadła przy stole zastawionym piękną porcelaną i wybornymi przysmakami. W pół godziny potem Czernicka, wchodząc do jadalni, znalazła Helkę siedzącą na kolanach nowej swej opiekunki i zupełnie już z nią spoufaloną. Niezmierna dobroć i czułość pani Eweliny prędko bardzo wlały w serce dziecka śmiałość i ufność. Z policzkami trochę zatłuszczonymi, nie krupnikiem ze słoniną tym razem, ale ciastkiem z konfiturami, wyciągała ona malutki paluszek swój ku różnym nieznanym jej dotąd przedmiotom, o nazwę ich pytając.

- Co to? pani, co to?
- Filiżanka – odpowiadała pani Ewelina.
- Fili-zian-ka... – z niejaką trudnością powtarzała Helka.
- A po francusku nazywa się to: la tasse!
- Tas, tass, tas-tas-tas! – szczebiotała Helka.

Kobieta i dziecko miały pozór istot doskonale szczęśliwych. Czernicka ze swą szklan-

ką herbaty opuszczając jadalnię, uśmiechała się w sposób sobie właściwy, trochę szyderski, trochę smutny.

Takim był pierwszy dzień pobytu Helki w domu pani Eweliny, a po nim nastąpił długi, długi szereg dni podobnych lub może dla kobiety, zarówno jak dla dziecka, jeszcze szczęśliwszych. Bawiły się z sobą wybornie. W letnich miesiącach po ładnym ogrodzie willę otaczającym od rana do wieczora prawie fruwała dziewczynka do barwnego kolumbra podobna. Drobne, wykwiłtne obute jej stopki obiegały po zwirowanych ścieżkach kłomby napelnione kwiatami; złotymi włosy okryta i ukwiecona jej główka przesuwiała się nad niskimi grupami zieleni jak napowietrzne, anielskie zjawisko. Szczebiot i śmiech dziecięcy rozbrzmiewał daleko, aż za żelazne sztachety przedzielające ogród willi od zamiejskiej ulicy. Pani Ewelina na obszernym i ozdobnym ganku siedząc godzinami całymi, zapomniała o książce trzymanej w ręku, ściagała wzrokiem malutką, lekką, strojną istotę, uchem lowiła każdy dźwięk szczebiotu jej i śmiechu, a czasem zbiegłszy ze schodów ganku, zaczynała gonić ją po ścieżkach ogrodu. Wtedy wśród tej dziecinnej zabawy, której całym sercem oddawać się zdawała, można było spostrzec najlepiej, ile sił i życia było jeszcze w tej już jednak niemłodej kobiecie. Policzki jej rumieniły się, czarne oczy płonęły, kibić nabierała zwinności i giętkości dziewczęcej. Gonitwa kończyła się zwykle rzuceniem się Helki na szyję pani Eweliny, wzajemnymi pieszczotami i długim przesiadywaniem na kobiercu murawy, pośród kwiatów, z których układały wspólnie bukiety i wieńce. Za żelaznymi sztachetami na chodniku ulicy przechadzający się mieszkańcy miasta zatrzymywali się często, usiłując przez otwory sztachet przypatrywać się ślicznej grupie, która wydawała się tym piękniejszą, że tłem jej był pałacyk malowniczo pośród ogrodu bielejący, a tym więcej rozrzewniającą, iż wiedziano powszechnie, że kobieta ta nie była matką tego dziecka. Dwie te istoty obce sobie krwią, a tak ściśle z sobą spojone najsilniejsze wrażenie wywierały w białe, zimowe dni, gdy wchodziły do natłoczonego ludnością miejskiego kościoła. Na tę malutką całą w atlasach i labędzich puchach i na tę kobietę w sobolach i aksamicie zwracało się wtedy parę tysięcy oczu ludzkich. Różową teraz i wiecznie uśmiechniętą tę dziecinę porównywano do róży wychylającej się ze śniegu, lecz jakież porównanie znaleźć można było dla jej opiekunki? Nazywano ją po prostu: świętą! Taką opieką i miłością otoczyć dziecko obce, niskiego pochodzenia, sierotę! W taki sposób używać bogactwa swego! Było to istotnie godnym uwielbienia. Uwielbiano też powszechnie panią Ewelinę, ilekroć łagodna i zadumana twarz jej przesuwiała się boczną nawą wspaniałej świątyni, a u drzwi kościelnych stojąca Janowa, zapalem porwana, całą siłą obu swych łokci rozpychała ściśnięty wkoło niej tłum, z loskotem na kolana padała i pocziwie, błękitne oczy swe topiąc w widzialnym jej szczycie wielkiego

oltarza, a rękawem świątecznej algierki lzę na czerwonej twarzy rozcierając, głośno prawie wołała:

– A szczęście wiekuiste niech jej świeci na wieki wieków, amen.

Nierozłączne w dzień, nie rozstawały się też z sobą i w nocy. Małe, rzeźbione z orzecha łóżko Helki, istne arcydzieło stolarskiej sztuki, umieszczone było tuż przy łóżku pani Eweliny. Na nim własnymi rękami opiekunki swej rozebrana i w batystową nocną koszulkę przyobleczona, na webowej, haftami okrytej pościeli Helka usypiała codziennie cichym, uśmiechniętym snem doskonale szczęśliwej istoty. Pani Ewelina, układając ją do snu, czyniła nad nią w powietrzu znak krzyża, po czym, gdy Czernicka układała koldrę jej w malownicze draperie, mówiła:

– Jaka ona śliczna, Czernisiu!

– Jak aniołek – odpowiadała panna służąca.

Czasem Helka nieśpiąca jeszcze rozmowę tę słyszała, z białych puchów pościeli wybuchal głośny śmiech dziecięcy przerywany wołaniem:

– Pani śliczniejsza! śliczniejsza! śliczniejsza!

– Co ona bredzi, Czernisiu! – z głębokim zadowoleniem uśmiechała się pani Ewelina.

– Co to za rozum w tej dziecinie! Jak ona panią kocha! – podziwiała Czernicka.

Przy tym przez całe dni i wieczory w salonie, w ogrodzie i w sypialni odbywała się wciąż prawie edukacja Helki. Pani Ewelina uczyła ją mówić po francusku, zgrabnie chodzić, siedzieć i jeść, ładnie ubierać lalki, gustownie dobierać kolory, do snu układać się w pozycji pełnej wdzięku, splatać rączki i oczy wznosić w górę przy modlitwie. Wszystkie nauki te udzielane i przyjmowane były wśród harmonii i przyjacielskości wzajemnej i zupełnej. Śród zabawy i żartów dziecko kształciło się prędko i wesoło, po roku pobytu w domu swej opiekunki Helka płynnie już szczebiotła po francusku, umiała na pamięć mnóstwo francuskich modlitewek i wierszyków, a gdy szła, biegła lub jadła, Czernicka, spoglądając na nią z podziwem, do pani swej mawiała:

– Co to za ruchy! jaka gracja! można by doprawdy myśleć, że panienka urodziła się w pałacu!...

– Tak już ją Pan Bóg obdarzył, moja Czernisiu – odpowiadała pani Ewelina.

Co jednak panią Ewelinę najbardziej w dziecku tym zachwycalo, to szczególny zmysł piękna, który objawiał się w niej z dniem każdym wyraźniej. Istotnie, Helka nabierała do rzeczy wytwornych i pięknych zamiłowania z namiętnością graniczącego. Najlżejszą dysharmonię kolorów spostrzegła natychmiast, najlżejsza warstewka pyłu na posadzce dostrzeżona wstręt w niej budziła; wybornie już oceniała stopień piękności każdego sprzętu; gdy zmęczoną była i chciała spocząć, umiała wybrać i samej pani domu wskazać

sprzęt najwygodniejszy; parę razy gorzkimi łzami plakała, gdy przyniesiono jej trzewiczki nie tak piękne jak te, o jakich marzyła. Pani Ewelina z rozkoszą spoglądała na szybki ten rozwój estetycznych skłonności dziecka.

– Moja Czernisiu – mówiła – jaki ona ma popęd do wszystkiego, co piękne, jaka w niej delikatność natury i wrażliwość na każde dotknięcie zewnętrznego świata. Mój Boże! żebym ja ją mogła do Włoch zawieźć! Jakżeby to małeństwo szczęśliwym było pod tym ślicznym niebem włoskim, w tym rozkosznym klimacie, pośród tych cudownych widoków włoskiej natury...

Marzenie zawiezenia Helki do Włoch wzmogło się w pani Ewelinie bardziej jeszcze, gdy dnia pewnego odkryła w niej ona talent, ale to widoczny i wielki talent do śpiewu. Helka miała już wtedy skończonych lat osiem i przebyła w domu pani Eweliny blisko trzy lata. W pewien pogodny dzień jesienny na chwilę samotną pozostawiona, siedziała na ganku pośród stosu nagromadzonych tam dla niej poduszek i ubierając lalkę, tak prawie dużą jak ona, w suknię piękniejszą jeszcze od tej, która ją przystrajała, nuciła. Nuciła jedną z francuskich piosenek, których mnóstwo umiała na pamięć. Stopniowo nucenie jej przechodziło w śpiewanie; lalka z rąk jej na poduszki upadła, a Helka z oczami utkwionymi w niebo, z rękami splecionymi u piersi donośnie i żałośnie wyśpiewywała:

*Le papillon s'envola,
La rose blanche s'effeuilla,
La la la la la la la...*

Głosik jej był istotnie czystym i silnym. Istotnie też w gorąco kochanym i czule pieszczonym dziecku rozbudzić się musiała uczuciowość gorąca i rzewna, bo smutne losy białej róży opiewała z przejęciem się i uczuciem takim, że aż drobna pierś jej wznosiła się wysoko, a na ciemnozielonej rzęsie błysnęła łza. Pani Ewelina niewidzialnie spoglądająca na nią przez otwarte okno salonu tonęła w zachwycie i od dnia tego zaczęła wieczorami uczyć ją muzyki.

Wieczorami w małym pokoju Czernickiej paliła się na stole lampa, zegar ścienny monotonnie tętnił nad przepaścistym kufrem, zza firanek ukazywało się skromnie zasłane łóżko. Cicho tu było. Trzy garderobiane drzemaly nad robotami swymi lub cichutko szeptały w przyległym pokoju; z głębi domu, z salonu, załatywały pojedyncze, przeciągłe dźwięki poruszanych z kolei fortepianowych klawiszów. Niekiedy ozwały się donośnie przez panią Ewelinę wymawiane: f, g, h itd.; niekiedy gama dziecinnego śmiechu rzuciła tu parę nut srebrnych albo przyciszone odległością dalo się słyszeć dziecinne śpiewanie:

*La rose blanche s'effeuilla,
La la la la la la la...*

Na jasnym tle obfitego światła lampy postać panny służącej, wysoka, cienka, w obcisłą suknię ubrana, z wysoko sterczącym z tyłu głowy grzebieniem, rysowała się w liniach ciemnych i ostrych. U nóg jej na miękkim, ładnym podnóżku w skurczonej i smutnej postawie leżał Elf. Ramiona jej suche, rękawami ociągnięte i długie, kościste ręce zwinnie i zgrabnie poruszały się około leżącej na kolanach materii. Szyla pilnie, lecz ilekroć odgłosy odbywającej się w sali lekcji muzyki przylatywały do niej, chmurny wzrok jej spływał na leżącego u stóp jej pieska; dotykała go z lekka końcem stopy i z właściwym sobie uśmiechem mówiła:

– Słyszysz? Pamiętasz? I ty kiedyś tam byłeś?

Wkrótce potem spełniło się pragnienie pani Eweliny; majątkowe interesy pozwoliły jej wyjechać na kilka miesięcy za granicę, powiozła do Włoch swoją Helę; Hela uprosiła o pozwolenie powiezenia z sobą Elfa. Czernicka pojechała także.

Po upływie kilku miesięcy w piękny dzień letni willa pani Eweliny, przez czas nieobecności jej obumarła, ożywiła się znowu. W ogrodzie kwitły pyszne astry i lewkonie, salon jaśniał swymi zwierciadłami i paśowymi adamaszkami, w sali jadalnej pobrzękiwały z cicha szkła i porcelany, pani Ewelina siedziała w salonie zamyślona bardzo, smutna nieco i tęskna. Helki przy niej nie było, ale z głębi domu od strony garderoby dochodziły chwilami dźwięki donośnego, wesołego jej głosu i śmiechu. Bawiła się w tej chwili wybornie. Czernicka, siedząc na podłodze garderoby, otwierała kufry podróżne, wyjmując z nich niezliczone przedmioty do niezliczonych użytków przeznaczone, trzy garderobiane zaś i mularzowa Janowa, stojąc dokoła w postawach pełnych ciekawości i zdumienia, przyglądały się z kolei panience i wydobywanym na jaw cudom europejskich rzemiosł. Wszystkie twierdziły jednogłośnie, że panienka bardzo urosła. Istotnie, Helka dosięgała wieku, w którym dziewczątka nabierają szczególnej i harmonijnej kształtów ich nadwierzającej długości nóg. Długie, cienkie te nogi, przybrane w bardzo ciasne i wysokie kamaszki, czyniły ją trochę niezgrabną. Regularny owal jej twarzy nadwierzzył się też nieco przez lekkie wychudnięcie, będące zapewne skutkiem długiej podróży; odkryte ramiona jej były chude i czerwone, śliczne dziecko zaczęło przedzierzgiwać się w niezgrabnego podlotka, którego jednak rysy zapowiadały przyszłą piękność młodej dziewczyny.

Mularzowa, uwiadomiona o powrocie pani i panienki przez jedną z garderobianych, u której to uprosiła, wydziwić się nie mogła naprzód małej krewniaczkę swej, a potem rzeczom jej wydobywanym z dwu oddzielnych tłumoków. Przysiadła na ziemi obok Helki, która pokazywała jej i tłumaczyła wszystko.

– Drugi kapelusz... – wykrzykiwała – trzeci... czwarty... o! dla Boga! Wieleż ty, Helko, masz kapeluszów?

– Tyle, ciotko, ile sukienek – tłumaczyła Helka. – Do każdej sukienki jest stosowny dla niej kapelusz...

– Co to za pudło?

– To neseser podróżny...

– Na cóż to?

– Jak to na co? Widzi ciotka, tu są różne przegródki, a w nich wszystko, co potrzeba do mycia się, czesania i ubierania... Oto grzebienie, mydelko, szczoteczki, szpilki różne, perfumy...

– Jezus, Maria! i to wszystko twoje?

– A moje! Pani ma taki sam neseser większy, a ja mniejszy...

W tej chwili Czernicka wydobywała z tłumoka lalki różnej wielkości, jako też i inne zabawki dziecinne najrozmaitszego rodzaju. Były tam prześliczne ptaki, gdyby żywe, osobliwe zwierzątka, gospodarskie przyrządy srebrnie i złoto polyskujące itp. Janowa usta szeroko otworzyła, zarazem oczy jej napelniły się smutkiem.

– Mój Boże! – szepnęła z westchnieniem. – Żeby to moje dzieciaki choć zobaczyć to wszystko mogły...

Helka popatrzała na nią chwilę, zamyśliła się, potem żywo rzuciła się do swych zabawek i lachmanków, z ferworem wielkim niektóre z nich Janowej ofiarowując.

– Weź, ciotko, tę sowę dla Marylki, a tę rybkę dla Kaśki... dla Wicia niech będzie może ta harmonijka... do niej tylko dotknąć się trzeba, a zaraz bardzo ładnie zagra... Weź, ciotko, weź! Pani nie będzie gniewać się, pani taka dobra i tak mię kocha... Weź jeszcze i tę różową chusteczkę dla Marylki, a dla Kaśki tę błękitną... ja takich chusteczek mam dużo... bardzo dużo...

Janowa z oczami pełnymi łez pochwycić chciała krewniaczkę w swe potężne ramiona, lecz lękając się zgnieść strzępiaste i skomplikowane jej ubranie, grubą ręką swą tylko po atlasowej twarzyczce jej powiodła. Podarunków nie przyjęła stanowczo, ale podnosząc się z ziemi, rzekła:

– Dobrze z ciebie dziecko! Choć na wielką panią rośniesz, ale biednymi krewnymi, którzy kiedyś przytulili cię do siebie, nie pogardzasz...

Gdy Janowa mówiła to, Czernicka, pochylona dotąd nad kufrem, wyprostowała się i prędko, dobitnie sarknęła raczej, niż wymówiła:

– Ej, moja pani Janowo! kto to może wiedzieć, jakim jeszcze kiedyś będzie, wielkim czy małym?

Janowa nie odpowiedziała nic, z rozrzewnionym bowiem śmiechem oglądała się za Helką, która chichocząc i na swych długich nóżkach podskakując, jak wesola i zwinna kotka kręciła się wkoło niej i wszystkie kieszenie odzieży jej cukierkami napychała.

– To dla Marylki – wołała – a to dla Kaśki, a to dla Wicka... a to, ciotko... dla wujaszka Jana...

Nagle wzdrygnęła się i posmutniała.

– Tutaj tak zimno! – nadąsanymi usteczkami wymówiła. – We Włoszech daleko piękniej i milej... tam ciągle słońce świeci... pogoda... takie piękne lasy pomarańczowe... My tu z panią długo nie wytrzymamy... pewno znowu pojedziemy tam, gdzie tak ciepło...

Czernicka wkładała już na nią miękki jak puch, ciepły paltocik, ale Helka wyrwała się z rąk jej.

– Aj! – zawołała – jak ja długo już pani nie widziałam; pójdę do pani! Adieu, ciotko! I rzuciwszy rączką calusa Janowej, pobiegła w podskokach, nucać donośnie:

– Pójdę do pani... do mojej drogiej... do mojej złotej... do mojej najmilszej...

– Jak ona kocha swoją dobrodziejkę! – zwróciła się do Czernickiej Janowa.

Wieczoru tego pani Ewelina opłynięta zwojami białego peniuaru siedziała przed gotownią smutna i tęskna. Helka w rzeźbionym łóżeczku swym, w pół zakopana w puchach, batystach i haftach, głęboko już usypiała; na gotowni dwie świece dopalały się w wysokich lichtarzach; za fotelem pani Eweliny stała Czernicka, rozczesując i do nocnego spoczynku układając krucz jeszcze i długie włosy swej pani. Po chwili milczenia pani Ewelina ozwała się:

– Wiesz, moja Czernisiu, mam kłopot...

– Jakież? z czym? – tonem pełnym czulej troskliwości zapytała panna służąca.

Po krótkiej chwili wahania pani Ewelina słabym głosem odpowiedziała:

– Z Helą!

Dość długo potem milczały obie. Czernicka z wolna, lekko wodziła szczotką po kruczych, jedwabistych włosach. Twarz jej odbijająca się w zwierciadle gotowni okryta była wyrazem zamyślenia. Po chwili ozwała się:

– Panienka... rośnie.

– Rośnie, moja Czernisiu... i trzeba by już myśleć o jej edukacji. Guwernantki do domu nie wezmę za nic, bo nie cierpię mieć w domu obce osoby... nie pojmuję, co uczynię.

Czernicka znowu milczała chwilę. Potem z westchnieniem wymówiła:

– Jaka to szkoda, że panienka nie jest już takim małym dzieciątkiem, jakim przybyła tu do nas...

Pani Ewelina westchnęła także.

– To prawda, moja Czernisiu, tylko takie małe dzieci są prawdziwie mile i sprawiają rozkosz niezmaconą. Hela wyszła już z najmilszego dziecięcego wieku. Trzeba już ją uczyć, strofować...

– Spostrzegłam właśnie, że od jakiegoś czasu pani jest zmuszoną dość często strofować panienkę...

– Naturalnie; charakter jej zmienił się znacznie. Stała się kapryśną... dąsa się na mnie byle o co...

– Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci...

– To prawda. Rozpieściłam ją. Niepodobna jednak taką już dużą dziewczynę pieścić tak, jak kiedy była taką malutką, zgrabniutką... taką przytulną...

– Panience trudno dogodzić... Dziś rozgniewała się na mnie bardzo za to, że czesząc ją, mocniej trochę pociągnęłam pasemko włosów...

– Doprawdy? Rozgniewała się na ciebie? Pamiętam, że i dawniej sykała często i rzucała się na krzesła, gdy ją czesałaś, ale dopóki była małą, było to bardzo zabawne i dawało jej wdzięku... teraz stać się może nieznośnym... Chciałabym mylić się, ale zdaje mi się, że... będzie złością...

– Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci – powtórzyła Czernicka.

Umilkły. Czesanie włosów na noc miało się ku końcowi. Z twarzą schyloną nad głową swej pani, na której układała leciuchny nocny czepeczek, Czernicka cichszym znacznie i wahającym się głosem ozwała się jeszcze:

– Może pani w tych dniach będzie miała gości...

– Gości! jakichże, moja Czernisiu? kogo?

– Może ten pan przyjedzie, na którego koncercie pani była we Florencji i który potem przez kilka wieczorów tak ślicznie grał u pani...

Obłok rumieńca przepłynął po twarzy pani Eweliny, którą długa podróż i późna wieczorna godzina uczyniły podobną do zwiędłego kwiatu.

– Nieprawdaż, Czernisiu, że gra on prześlicznie! Jest to prawdziwy i wielki artysta!

Ożywiła się, głos jej stał się silniejszym, przygasłe przedtem oczy błysnęły.

– A jaki piękny! – szepnęła Czernicka.

– Nieprawdaż? o! ci Włosi! jeśli który z nich pięknym jest, to już pięknym – jak marzenie...

Marzącym krokiem przebyła przestrzeń dzielącą gotowalnię od łóżka, a gdy była już rozebraną i gdy Czernicka układała koldrę w malownicze faldy i draperie, marzącym głosem mówić zaczęła:

– Moja Czernisiu! zmiluj się, dopilnuj, żeby wszystko w domu dobrze i ładnie uporządkować... Salon odświeżysz... tak jak to ty umiesz... bo ty masz wiele dobrego gustu i zręczności... Może... wypadkiem... ktokolwiek do nas przyjedzie...

Przez wiele następnych wieczorów pomiędzy panią Ewelina i Czernicką toczyły się przy gotowalni krótkie i urywane rozmowy.

– Czy nie zauważyłaś, Czernisiu, że Hela szpetnieje?

– Zdaje mi się, że panienka nie jest już tak zgrabną, jak była...

– Staje się całkiem niezgrabną... Nie pojmuję, skąd wzięły się u niej takie długie nogi... broda jej też wydłużyła się jakoś dziwnie...

– Zawsze jednak panienka jest bardzo ładna...

– Nie będzie tak ładną, jak można było spodziewać się przed paru laty... Mój Boże! że też to czas ten leci, leci, leci i unosi z sobą wszystkie nadzieje nasze...

Nazajutrz jednak twarz jej jaśniała bardzo błogą nadzieją. Na gotowalni leżał woniący liścik z Włoch przybyły.

– Moja Czernisiu! będziemy miały gości...

– Chwała Bogu! Pani weselej trochę będzie. Od powrotu z zagranicy pani ciągle taka smutna...

– O! moja Czernisiu, czegoż bym wesołą być miała! Świat ten tak jest smutny! Te szczególnie dusze, które gonią za ideałem, za doskonałością, wiecznie tylko zawodzić się muszą...

Po chwili milczenia dodała:

– Hela na przykład... Co to było za śliczne, miłe, zabawne dziecko... a teraz...

– Od powrotu naszego z zagranicy panienka ciągle nadąsana jakoś... czy smutna...

– Gdzie tam smutna! Czegoż by ona smucić się miała? Dąsa się na mnie za to, że nie zajmuję się nią tak ciągle, jak dawniej... Mój Boże! czyż ja mogę przez całe życie niczym innym nie zajmować się jak tylko tym dzieckiem...

– Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci – powtórzyła swoje Czernicka.

W samej rzeczy, Hela była smutną, ale zarazem i dąsała się straszliwie. Wypieszczone i od dawna samymi tylko rozkosznymi wrażeniami pojone jej nerwy rozstrajały się pod wpływem żalu, z którego przyczyny i natury nie zdawała sobie jasnej sprawy, lecz który co chwila pobudzał ją do płaczu lub złości. Przy czesaniu się i ubieraniu krzyczała teraz wniebogłose prawie, tupiała nóżkami, ścisłała piąstki – ledwie że nie biła Czernickiej. Kiedy pani Ewelina milczeniem lub półsłówkami odpowiadała na pieszczotliwe jej szczebioty albo i zamykała się przed nią w swej sypialni, siadała w kącie salonu na niskim stołeczku i skurczona, z wydetą twarzą, szepcąc do samej siebie gniewne monologi, zalewała się łzami. Po czym oczy jej nabrzękle i czerwone skłaniały panią Ewelinę do ostatecznego wyrokowania, że Hela jest złością i widocznie szpetnieje. Czasem przy-

chodziło jej na myśl robić coś na złość swej zobojętniałej dla niej opiekunce; kto wie? tym sposobem może zwrócić na siebie znowu jej uwagę. Gdy pani Ewelina z oczami wlepionymi w książkę w najgłębsze popadała zadumy, krokiem kocim, z ukośnymi wejrzzeniami skradała się do fortepianu i zaczynała z całej siły obu rękami uderzać w klawisze. Niegdyś kakofonia taka wykonana przez wychowankę jej wywołałaby wesoly śmiech pani Eweliny i sprowadziłaby na dziecko grad calusów. Teraz przecież Helka była daleko mniej zabawną, a pani Ewelina zapadała często w smutki i tęsknoty. Teraz zrywała się ona, biegła ku dziecku i karcila je surowymi napomnieniami, a niekiedy lekkimi uderzeniami po swawolnych rączkach. Wtedy Helka rozplakana i drżąca padała przed nią na klęczki, całowała kolana jej i stopy, wyszeptując długie, namiętne litanie najczulszych nazw.

– Moja droga – mówiła – moja złota... moja najmilsza... proszę... proszę...

I z wzniesionymi oczami, ze splecionymi rękami, klęcząc, milkła. Czula, głęboko i boleśnie czula, że chce o coś prosić, lecz o co i jak? Nie wiedziała.

W czasie jednej ze scen podobnych dnia pewnego lokaj zjawiający się w drzwiach salonu oznajmił gościa z włoskim nazwiskiem. Pani Ewelina, która z właściwą sobie czułością i dobrocią rozczulać się już zaczynała pokorną a pełną wdzięku postawą dziecka i już, już w objęcia swe pochwyć je miała, na dźwięk wymówionego nazwiska drgnęła, wyprostowała się i śpiesznie podążyła na spotkanie wchodzącego do salonu pięknego Włocha i słynnego artysty. Gdy witała go, uśmiechy i rumieńce, które twarz jej oblały, uczyniły ją podobną do świetnie rozkwitłej róży.

Wizyta trwała długo, bo aż do późnego wieczora. Gospodyni domu i gość rozmawiali po włosku z ożywieniem wielkim, z widocznym i zobopólnym pragnieniem wzajemnego uprzyjemnienia sobie czasu. Niebawem przyniesiono wiolonczelę, pani Ewelina, siedząc przy fortepianie, akompaniowała grze słynnego wiolonczelisty. W jednym z przestanków zaczęły rozmawiać z sobą ciszej niż wprzód – być może nawet, iż mieli sobie coś poufnego i tajemnego do powiedzenia, bo głowy ich kłoniły się jedna ku drugiej, a Włoch sięgał po białą rękę kobiecą niedbale na klawiszach spoczywającą, lecz w tejsze chwili pani Ewelina usunęła się i usunęła rękę, brwi jej ściągnęły się w sposób wyrażający przykre wrażenie, ze zniecierpliwieniem przygryzła wargę i głośno o muzyce mówić zaczęła. Przyczyną tego gwałtownego wzburzenia duszy i fizjonomii było spotkanie się oczu jej z parą utkwionych w niej szafirowych jak niebo włoskie i jak to niebo ognistych oczu dziecinnych. Hela, skurczona i cicha jak ptak zraniony, siedziała w pobliżu na niskim podnóżku i z cienia spadającego na nią od fortepianu wpatrywała się w opiekunkę swą jak w tęczę. We wzroku tym upornie w jeden punkt skierowanym

była żałość i trwoga, i prośba... I przez następnych dni parę pani Ewelina i gość jej nie mogli powiedzieć sobie nic poufnego i tajemniczego; rozmowa ich toczyć się musiała po ubitych i odkrytych gościńcach, bo Hela, ani na chwilę prawie nie opuszczając salonu, rozumiała wybornie i sama nawet nieźle mówiła po włosku.

Po paru dniach pani Ewelina, oczekując milego gościa swego, siedziała na kanapce z czołem na dłoni wspartym, pogrążona w tęsknej i zarazem rozkosznej zadumie. O czym myślała? O tym zapewne, że Bóg w nieprzebranej dobroci swej zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca. Promieniem tym stał się dla niej genialny i śliczny ten człowiek wypadkiem na szerokim świecie spotkany, a teraz za drogiego przyjaciela duszy i serca przez nią przybrany. O! jakże on ważną rolę w istnieniu jej odegra! Czuje to po przyśpieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napelniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, tak przez wszystko zawiedzioną. Już, już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatię lub w ciemną melancholię popaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to tracić nie należy. Byleby tylko genialny, piękny i drogi przyjaciel ten przybywał prędzej...

Tu zaduma pani Eweliny przerwana została przez dwie małe rączki, które jak płatki śniegu spadły na czarne koronki jej sukni i nieśmiało, błagalnie jakby pięły się ku jej szyi. Obudzona, wzdygnęła się i powściągnąwszy zniecierpliwienie, z lekka usunęła od siebie Helę. Ona usiłowała jeszcze zniecierpliwienie jej brać za wesoly żart. Zbyt długo kochaną była, aby móc prędko w odtrącenie uwierzyć. Zaśmiała się z cicha, pieścizliwie i znowu nieśmiało rączki topiąc w koronkach, próbowała dosięgnąć i objąć jej szyję. Tym razem pani Ewelina poskoczyła z kanapki, zadzwoniła:

– Panny Czernickiej!

Czernicka wbiegła ze zwojem jedwabnej materii w rękach, z pasemkiem jedwabiu na szyi, z mnóstwem szpilek w staniku sukni, zarumieniona silnie i śpiesząca się. Od tygodnia przeszło dyrgowała ona założoną w garderobie fabryką nowych sukien i wszelakich strojów.

– Moja Czernisiu, weź Helę i niech ona tam przy tobie będzie, kiedy u mnie są goście. Przeszkadza mi rozmawiać z gośćmi... Nudzi mię...

– Panienska niegrzeczna!

Z tymi słowami panna służąca schylała się nad dzieckiem, a po ustach jej wil się właściwy uśmiezek, trochę sarkastyczny i trochę smutny; pierś zaś ściśnięta czarnym, ciasnym stanikiem drgała ni to powstrzymywanym śmiechem, ni to tłumioną złością.

Wziąwszy rękę Helki, która ze zbielełą twarzą stała nieruchoma jak słupek, przez chwilę bystro patrzyła w twarz swej pani.

– Panienska zmieniła się... – wymówiła z wolna.

– Zmieniła się – powtórzyła pani Ewelina i wzdychając, z gestem najwyższego zniechęcenia dodała: – Nie pojmuję już teraz, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne dziecko!...

– O! było ono kiedyś wcale inne!

– Nieprawdaż, Czernisiu? wcale inne... była kiedyś prześliczna... ale teraz...

– Teraz zrobiła się nudna...

– Okropnie nudna... Weź ją i niech już ciągle będzie przy tobie...

Czernicka, wyprowadzając za rękę osłupiałą wciąż i jak płótno zbielełą Hele, w progu jeszcze usłyszała:

– Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilonym uśmiechem.

– Cóż tam z moją morową suknią? dopilnuj, proszę cię, aby dziś ładnie do stołu nakryli... rzuć też okiem na deser... Włosi, wiesz? nic prawie prócz owoców i lodów nie jedzą...

– Wszystko będzie wedle rozkazów pani... proszę tylko o klucz do materii i koronek i o pieniądze na wszystko...

W pokoju Czernickiej cicho było. Zegar wiszący nad ogromnym kufrem wybijał właśnie północną godzinę. W pobliżu firanek osłaniających łóżko panny służącej bieleło pod ścianą śnieżnie usłane z orzecha rzeźbione łóżeczko dziecinne. Na stole obok maszyny do szycia paliła się lampa, a na jasnym tle obfitego jej światła ostro i ciemno rysowała się postać pilnie pracującej kobiety. U nóg jej na ładnym podnóżku siedziała Hela, piastując na kolanach swych uszpiętego Elfa. Czernicka starannie układała i pilnie zszywała kokardy z czarnej mory, lecz gdy z głębi domu, z salonu, do ucha jej doleciały połączone, płaczące tony fortepianu i wiolonczeli, chmurny wzrok swój utkwiała w pochylonej nad pieskiem głowie Heli, a palcem uzbrojonym w srebrny napastrzek z lekka jej dotykając, wymówiła:

– Słyszysz? pamiętasz? i ty kiedyś tam byłaś!

Dziecko podniosło twarz znacznie od dni paru pobladła i na starszą towarzyszkę patrzyło w milczeniu oczami pełnymi wrosłego w nie jakby zdumienia.

– Cóż tak oczy na mnie wytrzeszczasz? czegoż dziwisz się? Och, poszłabyś lepiej spać... Nie chcesz? Myślisz, że cię pani zawoła! Nieprędko to nastąpi. Żal mi cię trochę. Chcesz? to opowiem ci jedną długą, ładną bajkę...

Hela podskoczyła na stolku tak, że aż się Elf obudził. Bajka! Niegdyś słuchała często bajek opowiadanych jej przez panią Ewelinę.

– Cicho, Elfku, cicho! no, nie śpij znowu! słuchaj! bajka będzie długa i ładna.

Czernicka dziesiątą z kolei wykończoną kokardę rzuciła na stół i zaczynając układać jedenastą, spod brwi na rozweselone nieco dziecko spoglądała. Palce jej drżały trochę i wzrok posepniał. Po chwili przyciszonym głosem i zawzięcie szyjąc, zaczęła:

– Była sobie razu jednego w szlacheckiej okolicy jednej młoda, przystojna dziewczyna. Żyła ona sobie szczęśliwie u rodziców swoich pomiędzy braćmi i krewnymi swymi, pod błękitnym niebem bożym i między zielenią kochanej ziemi, pracując ciężko, to prawda, ale zdrowa, hoża, rumiana i wesola. Było już jej lat piętnaście i już ją był chłopiec-sąsiad za żonę sobie upatrzył, gdy wtem wypadkiem zobaczyła ją jedna bogata i bardzo dobra pani. Ta pani zobaczyła młodą tę dziewczynę raz w niedzielę, kiedy w świątecznym ubraniu niosła ona z lasu dzbanek poziomek. Zobaczyła i zaraz bardzo pokochała. Za co? Nie wiadomo. Podobno dziewczyna miała piękne oczy, może też do twarzy jej było na zielonej miedzy, w złotej pszenicy, z czerwoną wstążką przy kaftanie i dzbankiem poziomek w rękę. Dość, że dobra pani przyjechała ślicznym powozem przed chatę jej rodziców i – zabrała ją sobie. Mówiła, że da jej edukację, w świat ją wprowadzi, los i szczęście jej zapewni... Los... i szczęść...cie!

Dwa ostatnie wyrazy wymówiła przeciągle, ze świstem i rzuciwszy na stół jedenastą kokardę, rozpoczęła układanie dwunastej.

– Cóż dalej? co dalej? moja panno Czernicka, co dalej? – trzepotało się na stołeczku dziecię. Elf nie spał także i siedząc na kolanach dziecka, dwojgiem czarnych, okrągłych oczu pojętnie patrzył w twarz opowiadającej.

– Dalej było tak. Dobra pani kochała bardzo, ale to bardzo młodą dziewczynę przez całuteńkie dwa lata. Trzymała ją wciąż przy sobie, całowała często, uczyła mówić po francusku, zgrabnie chodzić, mówić i jeść, paciorkami na kanwie wyszywać... potem...

– Co potem? co potem?

– Potem zaczęła ją lubić daleko już mniej, aż na koniec raz wypadkiem spotkała jednego hrabiego. Wtedy młoda dziewczyna zrobiła się bardzo nudna i – poszła do garderoby... Cale szczęście, że miała ona wiele dobrego gustu i zręczności, dobra pani więc kazała ją wyuczyć krawiectwa i różnych robót, i zrobiła z niej swoją pannę służącą. Gdyby nie nadzwyczajna dobroć tej pani, dziewczyna miałaby teraz swoją chatę w szlacheckiej okolicy, męża, dzieci, zdrowie i twarz rumianą. Ale pani ta zapewniła jej los i szczęść... ście. Od lat dwunastu szyje ona dla niej stroje po całych nocach, ujada się z jej garderobianymi i lokajami, każdego ranka wkłada jej na nogi pończochy i trzewiki,

a każdego wieczora urządza z koldry jej gustowne draperie... Trzydzieści lat ma dopiero, a wygląda na starą kobietę... Wychudła, szerniała i na oczy zapadać zaczyna... starość jej prędko przyjdzie i pamiętać o tym musi... o! musi ona pamiętać o swojej starości, bo gdyby sama o niej nie pamiętała, to dziś czy jutro, kiedy dobra pani kogoś innego zechce na miejsce jej w garderobie posadzić, wrócić by musiała chyba do szlacheckiej okolicy swojej na łaskę braci, na pośmiewisko ludzkie, na... nędzę! Ot... początek bajki!

Na stole leżało już wykonanych kokard kilkanaście. Czernicka wzięła długą, szeszczyący kawał czarnej mory i układać go zaczęła w malownicze fałdy i zwoje. Palce jej drżały mocniej niż wprzódy, a żółte powieki mrugały prędko, prędko, dlatego może, aby zdusić łzy, które drżały na rzęsach. Spojrzała na Helę i zaśmiała się głośno.

– Ależ! – zawołała – wytrzeszczyłaś oczy tak, jakbyś mię nimi pożreć chciała. I psisko to także wlepie we mnie swoje ślepie, niby bajkę rozumie. Bo to bajka jest... Chcesz słuchać dalej?

– Co było potem? – szepnęło dziecko.

Czernicka z wielką powagą w głosie i na twarzy odpowiedziała:

– Potem był hrabia...

– A jaki był – ten hrabia?

– Ten hrabia był – żonaty. Ksiądz spowiednik wytłumaczył dobrej pani, że żonatego kochać nie trzeba, bo można za to pójść do piekła i – sam po hrabi nastąpił.

– A gdzie był ten ksiądz spowiednik?

– Ten ksiądz spowiednik był w Paryżu – ale wkrótce pani wyjechała z Paryża i w mieście jakimś, wypadkiem, zobaczyła śliczną papugę, bladorożową z czerwonym dziobem...

Helą uczyniła żywe poruszenie.

– W Wiedniu... – zawołała – w jednym ogrodzie jest tak dużo, dużo papug... takie śliczne... śliczne...

– Otóż to; tamta papuga była jeszcze śliczniejszą od tych, które są w Wiedniu... Pani kupiła ją sobie i bardzo pokochała. Więcej jak przez rok nie rozłączała się z nią nigdy. Na noc przenoszono ją z klatką z salonu do sypialnego pokoju. Pani uczyła ją mówić po francusku, karmiła ją najwyborniejszymi przysmakami, gładziła jej piórka, całowała w dzióbek...

Tu skończyło się faldowanie kawałka mory, Czernicka pyszną draperię zawiesiła na poręczy krzesła i rozpoczęła mozolne strzępienie igłą końców szerokiej morowej szarfy. Pod ciosami igły materia wydawała ostre chrzęsty, zegar nad kufrem wybijał godzinę pierwszą, z salonu przypląnęły znowu milczące wprzódy przez dobry kwadrans, a teraz jak gdyby w namiętny uścisk rzucające się tony wiolonczeli i fortepianu.

– Co potem? Co było potem? – zaszemrał niecierpliwy i zarazem trwożny szept dziecięcy. Elf nie był ciekawy końca bajki. Usnął w objęciu Helki.

– Potem... nie pamiętam już dlaczego i jakim sposobem, papuga zrobiła się bardzo nudną... i poszła do garderoby. W garderobie posmutniała, przestała jeść, zachorowała i zdechła. Ale pani nie żałowała jej wcale, bo miała ślicznego pieska...

– Wiem! Już wiem! – nagle zawołała Helą.

– Co wiesz?

– Koniec bajki.

– No to powiedz.

– I piesek poszedł do garderoby...

– A potem?

– Potem była dziewczynka...

– I cóż?

– Pani dziewczynkę kochała...

– A potem – wtrąciła Czernicka – spotkała jednego sławnego muzyka...

– I dziewczynka poszła do garderoby!

Ostatnie trzy wyrazy Helą wymówiła szeptem zaledwie dosłyszalnym. Czernicka podniosła oczy znad morowych strzępi i ujrzała twarz dziecięcą bardzo dziwnie wyglądającą. Była to mała, pięknie zarysowana twarz, biała w tej chwili jak opłatek, z dwoma strugami cichych, bujnych łez z wolna toczących się po policzkach, z dwojgiem oczu szafirowych, wielkich, które zza łez podnosiły się ku niej z niemym, bezdennym, zda się, zdumieniem. Zrozumiała bajkę... ale dziwić się nie przestała.

Czernicka znowu kilka razy powiekami mrugnęła. Wstała i dziewczynkę z podnóżka podniosła.

– No – rzekła – dość już bajek i płaczów, i nocnego siedzenia... Zachorować możesz... Idź spać.

Nieopierającą się wcale, cichą jak sen, a wciąż podnoszącą ku niej pytające zza łez oczy, rozebrała i na pościeli złożyła. Potem wzięła Elfa, który już na podnóżku ułożył się był do snu, i w kształcie pociechy zapewne, położyła go na jej koldrze. Nachyliła się i suchymi, wąskimi wargami czoła jej dotknęła.

– No – rzekła – cóż robić? Nie bylam zła dla papugi, nie bylam zła dla Elfa, nie będę też zła dla ciebie... dopóki tu będziesz. Śpij!

Lekkim, ozdobnym parawanem zasłoniwszy jeszcze dziecinne łóżko od światła lampy, usiadła znowu przy stole i poczęła zszywać na maszynie białe jakieś muśliny. Suche i zwinne ramię jej obracało żywo korbę maszyny, a koło maszyny turkotało dopóty,

dopóki w przedpokoju zaspany lokaj nie zamknął drzwi za odchodzącym gościem. Na świecie bielal już wtedy późny ranek jesienny. Z sypialnego pokoju pani Eweliny ozwał się dzwonek. Czernicka porwała się z miejsca i przecierając oczy calonocną pracą zmęczone, pośpiesznie z pokoju wybiegła.

*

Od ponownego wyjazdu za granicę pani Eweliny, który nastąpił wkrótce po wyjeździe z Ongrodu słynnego artysty, upłynęło pół roku. Drobny, gęsty deszcz marcowy bez najlżejszego szelestu padał z popielatego nieba, a choć na świecie dobra jeszcze godzina pozostawała do zapadnięcia wieczora, w malutkim, niskim domostwie mularza Jana robiło się już ciemno.

W mętny i dżdżysty dzień wiosenny dwa małe, nad samą prawie ziemią umieszczone okna skąpo oświetlały izbę dość obszerną, z niskim, belkowanym sufitem, ze ścianami okrytymi szerniałym i chropowatym tynkiem, z podłogą glinianą i wielkim piecem do pieczenia chleba i gotowania służącym, a zapełniającym całą prawie czwartą część izby. Piec był wielki, a jednak w starych tych, niskich i cienkich ścianach czuć było zgromadzoną przez zimę stęchliznę i wilgoć. Zresztą stały tam pod ścianami ławki, stoły, parę krzesel z żółtego drzewa, komódka ze świętymi obrazkami, dwa niskie tapczaniki do spania, beczka z wodą i beczulka z kwaszoną kapustą, a w pobliżu pieca wąskie i niskie drzwiczki prowadziły do malutkiej izdebki będącej sypialnią właścicieli domostwa.

Teraz w większej izbie zgromadzona rodzina mularza zabierała się do jedzenia wieczery. Jan, krępy, silny człowiek, z głową nastrzępioną twardymi jak sierść, a jak las gęstymi włosy, tylko co wrócił od roboty, twarz i ręce umył w konwi z wodą i zdjawszy mularski fartuch swój gliną i wapnem oblepiony, w kamizelce i rękawach grubej koszuli zasiadł przy ścianie za stołem. Janowa, bosa, w krótkiej spódnicy i chustce na piersi skrzyżowanej, z grubą potarganą kosą odrzuconą na plecy, w przepaścistej głębi pieca rozpalila duży ogień i gotowała przy nim zacierkę. Pod ścianą na tapczanie siedziała i głośno gwarzyła gromadka dzieci. Było ich troje: chłopak dwunastoletni, krępy i silny, z czupryną jak u ojca gęstą i najeżoną, i dwie dziewczynki od lat ośmiu do dziesięciu, bosa, w długich aż do ziemi spódniczkach, szczupłe, ale rumiane i śmiejące się na całą izbę. Rozśmieszał je tak Wicek, który wpółleżąc na tapczanie i dziwne rzeczy bosymi nogami dokazując, opowiadał im o przygodach swych doświadczeniach w szkółce początkowej, do której od roku już uczęszczał. Dopóki Janowa nie rozpalila ognia w piecu, zdawać się mogło, że

w izbie tej oprócz dwojga rodziców i trojga małego rodzeństwa nie było nikogo. Gdy jednak błysk płomienia oświetlił ciemny wprzód przeciwległy kąt izby, ukazała się siedząca na drugim tapczaniku jedna jeszcze mała istota ludzka. Była to także dziewczynka, około dziesięcioletnia, której jednak twarz i ubranie błysk ognia ruchomy i słabo tu dochodzący oświetlał mętnie i migotliwie. Widać tylko było, że siedziała ona na tapczaniku z podwiniętymi nogami, w najgłębszy kąt wsunięta, w postawie skurczonej i zziębłej. Tuż przy niej polyskiwały brązowe guziki przyozdabiające niewielki, ale wykwinny kuferek, z którego dwie małe i blade jak opłatek ręce wydobywały od czasu do czasu różne drobne przedmioty. Z ruchu rąk tych można było z łatwością odgadnąć, że skurczona i zziębła istotka grzebieniem z kości słoniowej długo i starannie czesała swoje włosy, w których migotliwe błyski ognia rozpalaly niekiedy wśród cienia gorączolote polyski. Raz błysnęło też wydobyte z kufereka w srebro oprawione lusterko...

– Mamo! mamó! – zawołała młodsza z dwu bawiących się na tapczanie dziewczynek.
– Heła znowu czesze się i przypatruje się sobie w lusterku...

– Ona dziś już trzeci raz czesze się, a dwa razy myła sobie paznokcie – wzgardliwie zauważyła starsza dziewczynka.

– Eleganka! Lala! – dorzucił chłopiec. – Czy to jej jak nam w konwi myć się... umoczy ręczniczek swój w wodzie i pecka nim sobie twarzyczkę... ot! stłukę ja jej to lusterko, zobaczymy, co będzie!

I wszystko troje z wielkim tętentem bosych nóg rzucili się ku ciemnemu kątowi.

– Daj lusterko! daj! daj!

Dwie małe, blade jak opłatek rączki w milczeniu i bez najlżejszego oporu wyciągnęły się z cienia i oddawały rozswawolonej gromadce lusterko w srebrnych ramkach. Dzieci porwały je, lecz lupem tym jeszcze niezadowolone, ściągnęły z tapczana kuferek z angielskiej skóry i usiadłszy dookoła niego na ziemi, po raz setny zapewne przeglądając poczęły zawierające się w nim grzebienie, szczotki, szczoteczki, puste flakony od perfum i pudelka do mydeł.

Janowa tymczasem, nie zważając wcale na krzyki i śmiechy dzieci, a może nawet i w dobry humor przez nie wprawiona, rozmawiała z mężem o dzisiejszej robocie jego, o przykrościach, które wyrządzała jej sąsiadka, o Wicku, który dziś zalenil się i późno do szkoły poszedł. Potem niosąc ku stolowi wielką, dymiącą się misę, zawołała dzieci na wieczere.

Wezwania tego nie trzeba im było po dwa razy powtarzać. Wicek i Marylka jednym skokiem byli już na ławie obok ojca, któremu po jednym ramieniu na szyję zarzucili.

Kaśka przyskakala do stołu, uczepiona do spódnicy matki krającej w drodze chleb razowy z wielkiego bochna. Janowa obejrzała się.

– Heła! – zawołała. – A tyż? dlaczego nie idziesz jeść?

Zsunęła się z tapczanika i kiedy szła ku rodzinnemu stolowi, drobna postać jej oświetlona w pełni w sposób szczególny, jaskrawy odbiła się od otaczającego ją tła. Szczupła i nad wiek swój wysoka, miała ona na sobie szubkę z błękitnego atlasu, labędzim puchem obszytą. Atlas był jeszcze świeży i błyszczący, ale śnieżne niegdyś obszycie wyglądało jakby wydobyte z popiołu. Ubranie to, z którego już wyrosła, sięgało jej zaledwie do kolan, poniżej długie, chude jej nogi w pół okryte były lachmankami pończoch pajęczej cienkości i bucikami wysokimi, na długie rząd błyszczących guziczków spiętymi, ale przez otwory których przeglądały nagie prawie stopy. Ściągnęła i chudą twarz jej z wielkimi, zapadłymi oczami otaczały włosy ogniste, starannie uczesane i opasane świeżo snadź włożoną kosztowną wstążką. W tych niskich, ciemnych ścianach, pomiędzy tymi dziećmi bosymi i w grubej odzieży strój ten, jako też delikatność cery jej, rąk i ruchów okrywały ją w pół śmiesznym, w pół bolesnym piętnem głębokiej z całym otoczeniem jej dysharmonii. Przez chwilę słychać tylko było uderzanie łyżek o misę i mlaskanie pięciu gąb, z wielkim smakiem zjadających zacierkę ze słoniną przekąsywaną razowym chlebem. Heła jadła także, ale powoli, delikatnie i bardzo mało. Kilka razy poniosła do ust chleb i zacierkę i położywszy łyżkę na stole, siedziała cicho, z rękami splecionymi na kolanach, wyprostowana na stołku swoim tak wysokim, że stopy jej w paryskich, podartych bucikach nie dosięgały ziemi.

– Czemuż nie jesz więcej? – zwróciła się do niej Janowa.

– Dziękuję, już nie chcę – odpowiedziała i drżąc z zimna, otulała się, jak mogła, swoją za wąską dla niej i za krótką atlasową szubką.

– Czym to dziecko żyje, to już ja doprawdy nie wiem! – zauważyła Janowa. – Gdybym jej co dzień kawałek mięsa nie usmażyła, to by już chyba do tego czasu z głodu umarła. A i tego jeszcze nigdy, nigdy do końca nie zje...

– Et – flegmatycznie zauważył Jan – przywyknie kiedyś, przywyknie...

– A ciągle też zimno jej i zimno... Nasze dzieci latają po dworze boso i w koszulach, a ją tu w izbie przy piecu, w tym niby to futerku, febra wciąż trzęsie...

– At – powtórzył Jan – przywyknie kiedyś...

– Pewno! – przytwardziła Janowa. – Ale ot, tymczasem żal bierze, patrząc... Już ja często gęsto i samowarek nastawię a herbatą ją napoję...

– Tak i trzeba – potwierdził mularz – przecież płacą nam za nią...

– Płacą, to płacą... ależ nie tyle, żebyśmy ubóstwo nasze dla niej na bogactwo odmienić mogli...

– Bo i nie potrzeba, przywyknie.

Wicek i Marylka opychali się jeszcze chlebem i zacierką. Kaśka przekomarzała się z nimi, jeść im przeszkadzając. Jan, otarłszy usta rękawem koszuli, zaczął rozpytywać się syna o szkolne jego nauki i prowadzenie się, w przyległej izdebce zapłakało kilkumiesięczne dziecko. Janowa, która misę, łyżki i pół bochna chleba ku piecowi niosła, obejrzała się na Hełę.

– Idź, pokolysz Kazia i zaśpiewaj mu tam, jak to ty umiesz...

Rozkaz ten wydawała głosem łagodnym, daleko nawet łagodniejszym niż ten, jakim do dzieci swoich przemawiała.

Heła posłuszna i milcząca, krokiem lekkim i pełnym gracji, wcale do porywistego i ciężkiego chodu dzieci mularza niepodobnym, wsunęła się w całkiem prawie ciemną izdebkę, a po chwili miarowemu stukowi biegunów kołyski wtórować zaczął słaby, lecz czysty i rzewnością nabrzmiały śpiew dziecinny. Innych piosenek jak francuskie nie umiała, ale tych za to pamiętała mnóstwo. Francuskie zaś śpiewanie to zawsze i nieodmiennie wprawiało w zachwyt rodzinę mularza, dlatego może najbardziej, że było dla niej niezrozumiałym. I teraz także dzieci umilkły, Jan obu łokciami rozparty na stole i Janowa myjąca naczynie przy piecu milczeli. W ciemnej izdebce miarowo stukwały bieguny kołyski, a czysty i smutny głos dziecinny na przewlekłą, melancholijną nutę wyśpiewywał zwrotkę ulubionej piosenki:

Le papillon s'envola

La rose blanche s'effeuilla,

La la la la la la...

Janowa podeszła do stołu, Jan podniósł głowę. Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się z szyderstwem trochę, trochę ze smutkiem.

Jan sięgnął w zanadrze i rzucił na stół rozpieczętowaną kopertę.

– A! ot! spotkałem dziś na mieście posesora Krzyckiej. Szedł do nas, ale zobaczywszy mię, zawołał i oddał mi to...

Janowa grubymi palcami swymi z widocznym i głębokim uszanowaniem wydobywała z koperty banknot dwudziestopięciorublowy, stanowiący połowę rocznej sumy, którą im pani Ewelina na utrzymanie i edukację Heli aż do jej zupełnego dorostania wypłacać przyrzekła.

– No – zaczęła Janowa – przysłała jednak... chwała Bogu... myślałam, że...

Urwała, bo obok niej, przy stole, stanęła Hela. Z ciemnej izdebki, gdzie kolysała dziecko, widziała oddającego żonie kopertę z pieniędzmi i usłyszała wymówione nazwisko swej dawnej opiekunki. Jakby jej w jednym mgnieniu cała dawna żywość wróciła, zeskoczyła z łóżka Janowej, przy którym stała kolyska, i przypadła do stołu z zarumienioną twarzą, z błyszczącymi oczami, uśmiechnięta i drżąca, nie od zimna już, ale od wzruszenia. Wyciągnęła ku kopercie obie ręce.

– Od pani – wołała – to od pani... czy... czy...

Tchu jej brakło.

– Czy pani o mnie co pisze?

Jan i Janowa popatrzyli znowu na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się.

– Ej, ty głupi dzieciaku! gdzie by tam pani miała do nas o tobie co pisać... Przysłała, ot, pieniądze na utrzymanie twoje. Bądź wdzięczna i za to!

Hela w mgnieniu oka znowu pobladła, sposepniała i otulając się szubką swoją, odeszła ku piecowi. Wicek pochwycił kopertę i czytał Marylce wypisany na niej adres, Kaśka drzemiała na ławie z głową złożoną na kolanach ojca. Jan, biorąc z ręki żony banknot, z wahaniem w głosie zaczął:

– Może by to... schować dla niej... na dalsze czasy... Za dwadzieścia pięć rubli wyzywimy dziecko, a te drugie niechby... składały się...

– Niechby składały się – brodę na rękę w zamyśleniu wspierając, odpowiedziała Janowa. – Tylko że widzisz, Janku, teraz by ją oporządzić trochę trzeba...

– Jak to oporządzić? Toż pozwolili jej całą garderobę wziąć ze sobą...

– Ach! garderoba! Dobrze to było do pałacu, ale tutaj... Wszystko to takie cieniutkie, delikatne, niemocne... albo to ja mogę prać takie rzeczy, jak należy... Ot, jedna dopiero zima minęła, a na miejscu tych jej sukien w kuferku same lachy zostały.

– Ano, kiedy oporządzić, to oporządzić. Tylkoż mi, kobieto, zbytków żadnych dla dziecka tego nie rób... niech chodzi tak, jak nasze dzieci... a jeśli grosz jaki zostanie, na dalsze czasy dla niej schować...

– Ale! jak nasze dzieci! kiedy to takie delikatne! Bosą nogą na podłogę stąpi, kaszle... Trzy dni koszulę ponosi, płacze, pytam się: „Czego płaczesz?”, „Koszula brudna!” – powiada... A myje się to, czesze się i kurczy się po kątach przez całe dni... jak kotka.

– At! – bębniąc palcami po stole, zakonkludował Jan. – Przywyknie...

Gdy mularz i żona jego w sposób ten naradzali się nad Helą, ona stała przed piecem i zapadłymi, przyciemnionymi oczami patrzyła w dogasający ogień. Widać było, że namyślała się nad czymś głęboko; po chwili stanowczo jakby postanowienie powziąw-

szy, odwróciła się i cichutko otworzywszy drzwi od sieni, wymknęła się z domostwa. Na ulicy znacznie widniej było niż w chacie, jednak szarzało już z wolna i chłodem przesywająca mgła marcowego deszczu napelniała powietrze. W mgle tej brzegami znanych sobie uliczek, a potem ulic Helka przesuwała się zrazu prędko, potem coraz powolniej. Chwilami zmęczona bardzo przystawała; w wąskiej piersi jej brakowało oddechu, źle obute nogi słabły, kilka razy zaniosła się chrypliwym kaszlem. Szła jednak wciąż dalej i dalej, aż znalazła się na Zamiejskiej ulicy, u początku której, pośród bezlistnych teraz drzew ogrodu, stała willa pani Eweliny. Podeszła do żelaznych sztachet, popatrzyła na ogród. Posunęła się dalej, ku bramie. W bramie furtka była otwarta. Weszła na dziedziniec. Tu w głębi dziedzińca w dwu oknach oficyny, w której było mieszkanie stróża, świecił ogień. Snadź gotowano tam wieczerzę. Przed oficyną stróż rozrąbywał na drzazgi klocek drzewa. Zresztą cicho tu było i pusto, uderzenia siekiery głucho i miarowo tętniały w mgle deszczowej, z blaszanej rynny na bruk dziedzińca ciekła z monotonnym szmerem wąska struga wody. Hela przesunęła się pod ścianą pałacyku i suchą, bo żwirowaną ścieżką weszła do ogrodu. Tu stanęła przed schodami wysokiego ganku, na którym pani Ewelina przesiadywała zwykle całe dni letnie. Teraz schody, ganek i okrażające go ławki pokryte były wodą. Hela zaczęła wstępować po schodkach, woda pluskała spod jej paryskich podartych bucików. Nagle wydała okrzyk radości i miłosnym gestem wyciągnęła obie ręce. Spod ławki, z kąta ganku, w którym leżał zwinięty i do kłębka zmoczonej w błocie peli podobny, z zajadłym, piskliwym szczekaniem rzucił się ku niej Elf. Nie poznał jej był zrazu; bo też długa sierść jego, przemokła, splątana, całkiem prawie zasłaniała mu oczy. Gdy jednak przemówiła do niego i na mokrych deskach przed nim usiadła, wskoczył na jej kolana, a skomląc z radości, lizać począł twarz jej i ręce. Stworzenie to było wychudłe także, zziębnięte, głodne zapewne, brudne...

– Elfku mój! Elfku! piesku mój drogi, złoty, najmilszy!

Tulili się do siebie i całowali się wzajem.

– Elfku! a gdzie pani? gdzie pani? Nie ma pani naszej! nie ma! nie ma!

Wstała i psa niosąc w objęciu, zbliżyła się do jednego z wychodzących na ganek okien domu. Usiadła na ławce i wnet zerwała się z niej.

– Popatrzmy przez okno, Elfku, zobaczymy, co tam w pokojach dzieje się... Może tam pani jest... może nas zawoła...

Uklękła na ławce. Woda, której wiele zgromadziło się we wklęsłości ławki, plusnęła spod jej kolan. Nie uważała na to.

– Patrz, Elfku, patrz!

Podniosła pieska i obok twarzy swej kosmaty pyszczek jego do szyby przycisnęła.

– Widzisz, Elfku... Wszystko tak samo, jak było... pasowe firanki takie piękne... a tam to duże lustro, przed którym pani ubierała mię czasem... a tam... przez otwarte drzwi widać pokój jadalny...

Umilkła; pożerała oczami wszystko, co we wnętrzu mieszkania dostrzec mogła.

– Widzisz, Elfku, ten kołyszący się fotelik... jak na nim wygodnie siedzieć... bywało się i kołyszę się... kołyszę się... całuteńką godzinę... i lalka moja, ta duża, kołysała się ze mną...

Elf zmęczony niewygodną pozycją, wysunął się spod jej ramienia i opadł na ławkę. Osunęła się też wkrótce na nią i dziewczynka.

– Oj, Elfku! Elfku! i ty, i ja... byliśmy tam nigdyś...

Siedziała w wodzie. Ubranie jej tak było przesiąknięte wilgocią, że czuła spływające jej po plecach chłodne strumienie. Stopy jej, pod paryskimi podartymi bucikami nagie prawie, drętwiały. Siedziała jednak i tuliła do piersi wychudłego, mokrego Elfka, który od chwili do chwili ręce jej lizal.

– Widzisz, Elfku, tam gdzie teraz tyle błota... latem jest trawnik, a ja z panią siedziałam na nim tyle, tyle razy i układałyśmy bukiety. A pamiętasz ty, Elfku, Włochy? To ja uprosiłam panią, abyś tam z nami jechał! Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono... słońce tak świeci... świeci... morze takie szafrowe... nad morzem takie wielkie, białe ptaki latają... A pamiętasz, jak panna Czernicka lękała się płynąć po morzu... Gdzie teraz panna Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie... nigdzie... nigdzie...

Ciężka, kamienna senność ogarniała ją zaczynała. Pochyliła głowę na poręcz ławki i mocno wciąż trzymając przy piersi sennego też Elfka – usnęła. Na świecie robiło się coraz ciemniej; siekiera stróża umilkła, w oknach oficyny zgasł blask ognia, drobny, gęsty deszcz wciąż bez najlżejszego szelestu spadał na ziemię i tylko po rogach pałacyku z blaszanych rynien ciekły z monotonnym szelestem wąskie strumienie wody.

Okolo północy dostukawszy się do stróża i na pytania swe otrzymawszy odpowiedź, że istotnie stróż widuje od czasu do czasu dziecko to, które mu wieczorem z chaty zginęło, Jan mularz z zapaloną latarnią wszedł na ganek i nad jedną z otaczających go ławek stanął jak skamieniały. Stał, patrzył, wstrząsał głową i nie wiedzieć dlaczego grubą rękę swą, z niechcenia niby, przesunął po oczach, podniósł potem w silnych ramionach swych dziewczynkę, która obudziwszy się senna, splakana i słaba, rozpaloną twarz swą na ramię jego zwiesiła. Zniósł ją z ganku i szybkim krokiem

ku chacie swej z nią podążył. Biorąc Helkę, odrzucił precz śpiącego na piersi jej Elfa, który też w milczeniu poszedł znowu pod ławkę i ciężko wzdychając, zwinął się w kłębek na mokrej podłodze ganku.



Bolesław Prus (właśc. Aleksander Głowacki) 1847-1912

Urodził się 20 sierpnia 1847 roku w Hrubieszowie, w zubożałej rodzinie szlacheckiej herbu Prus, zmarł w Warszawie 19 maja 1912 roku. Powieściopisarz, publicysta i nowelista okresu pozytywizmu, uważany za protoplastę realizmu polskiego, jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy.

Jako 16-latek wziął udział w powstaniu styczniowym. Ranny znalazł się w szpitalu, a potem w więzieniu. Po odbyciu kary ukończył gimnazjum i podjął studia na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Szkoły Głównej w Warszawie, które musiał przerwać.

Próbował swych sił w zawodzie dziennikarza w 1864 roku, jednak za jego debiut prasowy uważa się artykuł społeczny „Nasze grzechy” (1872). Pisywał do gazet warszawskich humoreski i listy z podróży, ale największą popularność przyniosły mu „Kroniki tygodniowe”, cykl ok. 1100 felietonów, w których podejmował istotne tematy życia publicznego.

Twórczość literacką rozpoczął w 1875 roku od nowel i opowiadań, m.in. „Przygody Stasia”, „Anielka”. Jego ambicje sięgały dalej, zaczął pisać powieści, m.in. „Placówka”, „Lalka”, „Faraon”. Powieści i nowele tłumaczone były na kilkanaście języków.

Prus był pisarzem zaangażowanym, wrażliwym na los biednych i pokrzywdzonych, w utworach koncentrował się na ważkich problemach społecznych.

W „Katarynce” (1880), uznawanej za jedną z najwybitniejszych jego nowel, podkreślił potrzebę pracy na rzecz społeczeństwa, dbałości o jego członków, aktywnego działania.

Katarynka

Na ulicy Miodowej co dzień około południa można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodził z placu Krasieńskich ku ulicy Senatorskiej. Latem nosił on wykwintne, ciemnogrnatowe palto, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące jak zwierciadła – i – nieco wyszarzany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę; w pochmurny – dźwigał jedwabny parasol angielski.

Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się z wolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika, jak stoi barometr i termometr, potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego, oglądał fotografie Modrzejewskiej – i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potracony uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegał ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzeć się jej. Ale że robił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to – pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. Toż samo ulica Miodowa pomyśleć by mogła o nim.

Gdy był jeszcze obrońcą, biegał tak prędko, że nie uciekłyby przed nim żadna szwaczka wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy zakręcone ostro do góry. Już wówczas sztuki piękne robi-

ły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał – za kobietami. Co prawda miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyń, będąc zajęty jeźli nie praktyką, to – schadzki. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józją i Filką zjeść kolację.

Gdy został mecenasem, czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wążach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinię znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie z sześciu pokojów złożone, urządził w nim na własny koszt posadzkę, sprawił obicia, piękne meble – i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale... nie czekając na oświadczyń mecenasa, wyszła za doktora...

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien nie brakło. Ekwipował się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam nie wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerię sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u niego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemię i sięga w tył do białego jak śnieg kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tym bardziej że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze niż zwykle towarzystwo, jedna z młodych pań rozjeżdżawszy się po salonach zawołała:

– Co za obrazy... A jakie gładkie posadzki!... Żona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.

– Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie posadzki – odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa.

W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspominał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

– Iiii!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne były jakby wiorstowymi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się on, nie unosił, ale – smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki, nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się wprzódy z tworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galerii całe godziny.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

– Wiecie, państwo, że jest to wcale ładne.

Należał do tych niewielu, którzy najpierwej poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

– Czekajcie, może się jeszcze wyrobił – mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występach nie rozmawiał.

Na nieszczęście, żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto – nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny – zapalał się, jak był cichy – krzyczał, a jak był łagodny – wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się:

– Muzyka – mówił wzburzony – stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcję maszyny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są po prostu rabusie!

Zresztą – dodawał – katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstręcie mecenasa do grających maszyn, wymyślił niesmaczny żart – i... wysłał mu pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie odkrywszy sprawcę, wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi o rzecz tak małą na pozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a naj-

pierwej panu Tomaszowi. Mecenasa z rezygnacją placił podwyżkę, ale pod tym warunkiem wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

– Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

– Kazimierz, proszę pana.

– Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

– Rozumiem, wielmożny panie.

– A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

– Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie – odpowiedział wzruszony stróż.

– Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek. Rozumiesz?...

– Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Lokal mecenasa składał się z dwu części. Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze – od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. W niej odbywały się rauty, przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasa ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia, czy wywoskowano posadzki, czy starto kurz i nie uszkodzono mebli.

Cale zaś dnie, o ile nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy albo przeglądał dokumenty znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu naprzeciw okna i zapalwszy cygaro zatapiał się w rozmyślaniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcją życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który spadłszy z etatu przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiiki krawiec; lecz że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie klócała się ze swoją służką.

Ale od św. Jana, staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej klótliwego usposobienia, wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodsza z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa, i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny przeznaczone do szycia i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzą, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka za pomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

– Dziwne dziecko! – mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukietek. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała na powrót bukietek, włożyła go w szklankę wody i usiadłszy w swoim oknie rzekła:

– Prawda, mammo, że tu jest smutno...

Mecenasa zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzawszy na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka oparłszy głowę na rękę położyła się prawie na wznak w swoim oknie – i – szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

– Ona nie widzi! – szepnął mecenas, opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył klucia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidoma od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

– Mamo, czy to jest noc?...

– Nie, moje dziecko... A dlaczego ty tak mówisz?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała: spać się jej chciało. Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

– Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

Ale chora, im bardziej odzyskiwała siły, tym mocniej niepokoiła się swoim kalectwem...

– Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?...

– Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

– Kiedy przejdzie?...

– Niedługo.

– Może jutro, proszę mamy?

– Za kilka dni, moja dziecino.

– A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłym oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem; sama ubierała się i rozbierała powoli i ostrożnie.

Ale wzrok nie wracał.

Jednego razu mówiła:

– Prawda, mamo, że ja mam niebieską sukienkę?...

– Nie, dziecko, masz popielatą.

– Mama ją widzi?

– Widzę, moje kochanie.

– Tak jak i w dzień?

– Tak.

– Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?... Nie, może za miesiąc...

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

– Prawda, mamo, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?... Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnymi łapami?... Prawda, mamo, że ja widziałam siebie w lustrze?... Nie ma tu lustra?...

Matka podaje jej lustro.

– Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie – mówiła dziewczynka, przykładając lustro do twarzy. – Nic nie widzę! – rzekła. – Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

– Widzę cię, moja ptaszyno.

– Jakim sposobem?... – zawołała dziewczynka żałośnie. – Przecie jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic...

– A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?...

Ale matka rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszym zajęciem kaleki było dotykać rękoma drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, pieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno, wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku wysłanym watą.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kąciku swoją córkę, już ubraną i bawiącą się lalką.

– Co ty robisz, dziecino? – zawołała. – Dlaczego nie śpisz?

– Bo już przecie jest dzień, proszę mamy – odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zwały się w jedno i trwały zawsze...

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i miękką, błyszczący pieniądz był twardym i dźwięcznym krążkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś – skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że zbliżywszy się do ściany, czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy – dorożka, a kiedy – kary wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. Z niepojętą bystrością pochwytywała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski.

Raz matka zawołała służącą.

– Nie ma Janowej – rzekła kaleka, siedząc jak zwykle w kąciku. – Poszła po wodę.

– A skąd wiesz o tym? – zapytała zdziwiona matka.

– Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napompowała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie zza parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu i to ją nieco uspakajało. Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej – podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne. Przygluszony turkot uliczny dolatywał z góry; inne odgłosy niknęły. To była noc dla ociemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działo się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej niż w pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic: tu skupiały się krzyki z całego domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień...

Nie dość na tym. Na strychu częściej niż w pokoju świeciło słońce, a gdy dziewczynka skierowała na nie przygasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nic przypomnieć sobie nie mogła...

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwym nieszczęściem.

Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. Nie słyszała ptaków ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny, ani druciarze, ani śmieciarki. Nie puszczano bab śpiewających pieśni pobożne, ani dziada, który grał na klawercie, ani kataryniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecież nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczuła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho...

– Biedne dziecko! – szeptał nieraz pan Tomasz, przypatrując się smutnemu maleństwu.

„Gdybym mógł dla niej coś zrobić?” – myślał, widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i co dzień niknie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i jak zwykle oddał mu do przejrzenia papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale jako doświadczony praktyk umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz im więcej wczytywał się w papiery, tym bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonach, tylko, zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenta i notował.

Wieczorem stary lokaj mecenasa przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierzny, Kazimierz, zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień – do kozy. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?...

Ale mecenas, pochylony nad papierami, palił cygare, puszczał kółka dymu, a na wierne go sługę nawet nie spojrział.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szpakowate faworyty na szafirowym tle pokojowego obicia przypominały „studia z natury”. Matka ociemniałej dziewczynki i jej współpracowniczka robiąca pończochy na maszynie podziwiała mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a w roku 1875 – synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X był wariatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nie ulegające wątpliwości świadectwa, że X i w roku 1872, i w 1875 działał jak obłąkany, a cały swój majątek jeszcze w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie, kiedy naprawdę X był wariatem, a następnie o pogodzenie trzech powaśnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samym oknem pana Tomasza, odezwiała się – katarynka!...

Gdyby zmarły X wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomóc mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowymi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawalki! Gdzie tam! Jakby na większą szykanę katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, od czasu do czasu odzywająca się w niej, ryczała jak wściekle zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenasa osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacjom.

Ale nie, to nie były halucynacje. To była rzeczywista katarynka, z popsutymi piszczałkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem!

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnym uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył jak tygrys do okna i postanowił – zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: „Ty... próżniaku jakiś!...” – gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknym zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa mało nie przyprawiła o apopleksję.

Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i od czasu do czasu pogwizdywać niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! jak on ślicznie gwizdał...

Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

– Ja mówiłem temu galganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów.

– No, teraz posłuchaj – krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża – posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę tak fałszywie i wrzaskliwie jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę błady:

– Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

– Paweł, jaśnie panie.

– Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

– Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! – wtrącił śpiesznie lokaj.

– Nie – rzekł pan Tomasz. – Za to, ażebyś przez jakiś czas co dzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

– Co pan mówi?... – zawołał służący, którego nagle rozzuchwalil ten niepojęty rozkaz.

– Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał co dzień katarynki na podwórze – powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

– Nie rozumiem pana!... – odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

– Głupiś, mój kochany! – rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz. – No, idźcie do roboty – dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa, wyrzucił katarynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniejsze, co już okrutnie drażniło mecenas, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów wyszedł, mruczając:

– Biedne dziecko!... Powiniennem był zająć się nim od dawna...



Władysław Stanisław Reymont (właśc. S.W. Rejment) 1867-1925

Urodził się 7 maja 1867 roku we wsi Kobieli Wielkie koło Radomska, zmarł 5 grudnia 1925 roku w Warszawie. Powieściopisarz, nowelista i reportażysta, przedstawiciel Młodej Polski, działacz społeczny. Laureat literackiej Nagrody Nobla za czterotomową epopeję „Chłopi”.

Pochodził ze zdeklasowanej rodziny szlacheckiej, jego ojciec był wiejskim organistą. Jako dziecko nie palił się zbytnio do nauki: terminował u mistrza krawieckiego, uczył się Warszawskiej Szkoły Niedzielno-Rzemieślniczej. W wieku 18 lat przyłączył się do wędrownej trupy aktorskiej, potem pracował jako robotnik na kolei. W końcu zaczął żyć z pisarstwa.

W 1892 roku opublikował pierwszą nowelę „Wigilia Bożego Narodzenia”. Rozgłos zyskał reportażem „Pielgrzymka do Jasnej Góry” – uczestniczył w chłopskiej pielgrzymce podczas obchodów 100. rocznicy insurekcji kościuszkowskiej. Najważniejszymi utworami pisarza są „Komediantka”, „Ziemia obiecana” i „Chłopi”, tłumaczone na kilkanaście języków. Ujawniły jego dar obserwacji świata, ludzkich zachowań oraz wielką wrażliwość.

W opowiadaniu „Orka” (1919) ze zbioru „Za frontem” Reymont przedstawił przeżycia ofiar i uczestników I wojny na wsi polskiej.

Orka

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! – wyrzekł uroczyście chłop i przeżegnawszy się z namaszczeniem, ujął za pług – Wio! Powoluśko a krzepko! – smagnął batem z przyzwyczajenia.

Pług zaprzężony w krowę i troje ludzi werznął się w ziemię i odwałł czarną, lśniąca skibę. Grunt był ciężki, stare koniczynisko wytarte do ostatniego ździebła i ubite niby klepisko, że chociaż pług szedł płytko, skiba kładła się ostro, nastroszona.

Starucha ledwie kształtem dająca pozór człowieczy rozbijała motyczką twarde grudy, kilka wron podskakiwało za nią, wybierając z bruzdy pędraki.

Orka szła niezmiernie ciężko i powoli, pług był stary, na kółkach i zaprzęg lichy: w pierwszą parę ciągnęła kobieta z krową złączona wspólnym, drewnianym jarzmem, zaś na przedzie, zaprzężeni w rodzaj szorów, mozoliła się rosła dziewczyna z chłopakiem. Krowa była jeno szkieletem, obciążonym poszerszeniałą skórą, a ludzie zaledwie cieniami. Długi uparty głód jednak wyzierał im z oczów; okryci w lachmany, wynędzniali, bosy, ciągnęli jednak zgodnie bez skarg i wyrzekań, przyginając się w strasznym wysiłku do ziemi, a z taką mocą, że trzeszczały orczyki i postronki.

– Choćby ta spyskać ze trzy albo cztery morgi! – marzył głośno chłop, ledwie się wlekący za pługiem. Baranicę miał na lbie, strzępy kozucha na plecach i chore nogi okręcone w szmaty.

– Żyto niezgorzej ruszyło – spojrzal na zielonawe zagony pobok rozciągnięte – ziemniaków się nasadzi pod motyczkę, jęczmienia wsieje, ze ćwiartkę grochu, to się jakoś przy Boskiej pomocy, przebiduje! Wio! Wio! – zachęcał pchając usilnie pług.

– I pod len trza by parę zagonów, i pod kapustę! – przypomniała cicho dziewczyna.

– A nie zabrali to siemienia? – wtrąciła kobieta. – Trzymałam na siew i na tę kapkę oleju! Dobrali się kieby do miodu! Próżna marnacja wszystko i tyła!

– Na deszcz się znowu zbiera! Mówilem ci, Magduś, spuść wody ze żyta, wygnilo przy bruzdach. Ani chybi że idzie deszcz! – zagadywał żonine wspominki.

Jakoż kwietniowy poranek, chociaż się był podniósł pogodny i jasny, schmurzał się i posepniał, blade słońce przezierało z oparów niby oplitek. Szare, omglone równie roztaczały się dokoła, jak tylko było można sięgnąć okiem, jeno tu i ówdzie naznaczone siwymi płachtami rozlewisk i kępami drzew. Pierwsza wiosna zaledwie tknęła ziemię: już puszczały wierzby, po łąkach żółciły się kaczeńce, na rowach otwierały oczy stokrotki, oziminy nabierały zieleni, a skowronki od świtu do nocy wyśpiewywały, ale na polach było jeszcze szaro, pusto i dziwnie smutnie. Nie było wesela w sercach ludzkich i cmentarna cichość unosiła się nad światem.

– Kto jeno żyw wychodzi na robotę! – zauważył chłop, gdy dosięgnąwszy granicy, nawrócili ku wsi. Nikt nie odpowiedział, dyszeli, przykucnąwszy na miedzy.

– I na dworskim robią! Cale cztery pary, dopiero ci parada! – szepnął z politowaniem.

– Nie frasuj się o dziedzicową skórę, poradzi sobie – mruknęła kobieta. – Jeszcze chłopom nakażą mu pomagać przy orce. A jak to było we żniwa? – gniew ją przejmował.

– Było tak, juści, nie za darmo przecież, płacili...

– Co im się spodobało! A przymuszali pomagać dworom, jak za pańszczyznę – przypominała.

– I szkoda czasu! Ciągnijta! Tomek już jęczmień bronują! – zauważył, patrząc na lewo.

– Podorał na zimę, to teraz sobie pan i w krowę poradzi. A nie molestowałam cię to świętymi słowami: Wojtek, orz! Koń był i czasu miałaś dosyć. Wolaleś na jarmarki jeździć i po karczmach się uradzać z lajdusami, a teraz we mnie i dzieci orzesz! kieby w bydłeta!

– Twoja prawda, żono, twoja – przyznawał pokornie. – Śmierci bym się pierwej spodziewał niżli tego, że na wiosnę konia miał nie będę. Śmierci! – zajączkał boleśnie.

Zmierzali się ku wsi. Rozciągnęła się w poprzek pól, na łagodnym skłonie pod słońce leżała grobla sadów, z których gęsto sterczały nagie kominy, zręby spalonych chałup i rumowisk budynków. Połowa wsi leżała w gruzach. Dwór, stojący na prawo za wielkim

stawem, czerniał się kupą rozbitych ścian, cegły i połamanych dachów, zaś z ogromnego parku pozostały jeno żalodne kikuty postrzelanych drzew, jakoby pięście grożące niebu. Wojna przeciągnęła tędy i na każdym miejscu znaczyły się ślady jej nieublaganych pazurów. Poszarpała wieś, wylamała lasy, stratowała pola i na rodnych ziemiach pozostawiła plugawe, żółte groble okopów i nieskończone rzędy mogilek, obsadzonych białymi drzewami krzyżów.

– Wawron orzą we dwie krowy – zagadał chłopak, przystając przy tej okazji.

– Patrz roboty, a nie cudzych ogonów – posłyszał odpowiedź wraz z poświstem bata.

Przymilkli, ciągnąc pług niestrudzenie, a uważając, jako wkrótce za nimi cała wieś wyszła na robotę i już na każdym poletku ktoś się ruchał. W szarym, przemglonym powietrzu gmerali się jako te mrówki cicho, z wolna i akuratnie. Kto w konia, kto w krowy, kto jeno w ludzki sprzężaj, a każdego orał, siał lub bronował. A byli, co tylko rydlem jakby gołymi pazurami darli tę świętą ziemię z ponurą zawziętością.

– Mój Boże, po inne lata sto koni wychodziło na robotę! – westchnął chłop.

– A jakie to szły śpiewania, pokrzyki, uguary! Hej! – wspomniała cicho dziewczyna.

– Pan Jezus wiedział, co zrobił! – zamamrotała starucha, przysiadając na skibie, gdy stanęli nabrać nieco sił i oddechu. – Tyle się rozmnożyło złego, że kara przyjść musiała! Spokornieją ścierwy, spokorniej! Wynosił się jeden nad drugiego i pysznił! W morgi jeno wierzyli a w pełne sakwy! Za nic mieli biednego, za nic sprawiedliwego. Rozwalał się jeno po świecie, którego rublami sypał! Dał wam Pan Jezus radę!

– Ale i pocziwym stała się niemala krzywda! – wtrąciła posepnie młodsza.

Orali znowu w głębokim milczeniu, chłop rozważał babczyne słowa i pilnie szukał w sumieniu, czym by się zasłużył na ukaranie, aż w końcu rzekł twardo:

– Panowie sobie wojują, a chłop w skórę bierze – splunął i pral krowę, aż zatryczała.

– Człowieku, dyć to ostatnie bydłatko! – spróbowała mitygować kobieta.

– Cicho! Wio, ścierwy, bo gnaty poprzetracam! – grzmiał rozszokowany.

– Tatulu, boćki przyleciały – zakrzyzczał naraz chłopak, wskazując ręką. – Boćki, laboga!

Przystanęli patrząc za bocianami krążącymi nad zburzonym dworem i parkiem.

– Kajże to se założą gniazda, kaj! – westchnęła współczująco kobieta. – Biedne sieroty!

– Nawet tej suchej topoli nie darowali. Wszystko im na przeszkodzie! – wrzał glucho.

Bociany spłynęły na zalane łąki, jakiś pies gnał ku nim z radosnym naszczekiwaniem. Wszystkim zrobiło się jakoś weselej, jakby z bocianami wraz zakwitła w sercach nadzieja.

– Ciągta, ludzie! Józiek, nie wykręcaj łbem, bo weźmiesz batem – upominał chłop, ale już go gniew opuszczał i sam co chwila niósł się oczami na łąki, a coś w sobie rozmawiał. –

Jak wracają na gniazda bociany, to wojna odlatuje! – wyrzekł z głębokim przeświadczeniem.

I znowu podały się karki jarzmom, przygięły się plecy, nogi wparły się w ziemię i pociągnęły pług w głuchym milczeniu. Zmroczyło się naraz i zaczął padać drobny, uprzykrzony deszcz. Sypał obficie niby przez sito, zasuważąc świat jakby rozdrzanym szkliwem, przenikającym do kości chłodem i wilgocią. Wiosenna plucha zanosła się na dobre i orka stawała się coraz cięższa i mozolniejsza, ślizgały się nogi, że raz po raz któreś ryło nosem po ziemi, brakowało już sił, jarzmo uwierało boleśnie, a postronki wrzynały się dzieciom w ramiona i piersi aż do krwi. Ciągnęli jednak bez skarg i jęków, utykając i co trochę przemieniając miejsca w uprzęgu. Chłop wyręczał wszystkich po kolei, a do prowadzenia pługa stawała żona, to córka, to chłopak. Nie wiele to pomagało, robota szła coraz ciężej i każda nowo odwalona skiba zdawała się być przemoknięta nie tyle deszczem, ile potem i krwią strasznych wysiłków. A chwilami, kiedy już brakowało oddechów, walili się na ziemię, gdzie popadło, i leżeli jak pomordowane bydlęta, martwi niby kloce i zgoła już niewiedzący nawet o sobie.

Niedługo odpoczywali, bowiem nieubłagana konieczność wprzęgła ich z powrotem w jarzma, przymuszając do krwawego trudu. Straszliwe widmo głodu nieodstępnie snuło się za nimi, poganiając batem rozpaczy.

– Siwkem już bym od świętej pamięci zaorał! – wyrwało się chłopu.

Sercami zatargał nagły ból, wyciskając z oczów lzy gorzkich wspomnień.

– Prawdę im rzekłem: zolzowaty i ma grudę. Nie uwierzyli! Juści, na oko koń jak malowany, rosły i chody miał cuganta. Po dworskich, to i nie dziwota. Do nóg się poklonilem. „Nie gubcie, powiadam, toć nasz żywiciel. Dziesięć morgów pola, sześcioro narodu i z wiosną za pasem – powiadam. – Jakże se poradzimy sieroty bez konia, jak!” – powiadam. Poświargotały i wzieni – powtarzał może już po raz tysięczny. Ta chwila utraty konia stała mu wciąż w pamięci; była to niezagojona rana, przez którą uciekało jego życie. – Taki koń! Jacek dawał mi za niego parę kasztanów, a nie chciałem bez dopłaty.

– I do figłów był skory! Pamiętacie, jak to loni pierzynę z płota ściągnął i latał z nią po sadzie, a odebrać sobie nie dawał – rozrzewniała się dziewczyna.

– I na gwizdanie przylatywał jak piesek – wspomniał chłopak.

– Był, był, a teraz i lajna po nim nie stało. A żebyśta, ścierwy! Wio! Wio!

Krowa się naraz przewróciła, kobiety uderzyły w płacz, skoczyli na ratunek, na szczęście nic się jej nie stało i dała się podnieść na nogi.

– Granula! Loboga! Granula! – lamentowała kobieta, obcierając ją z błota i głaszcząc jak dziecko najmilsze. – Jeszcze gotowa zgubić tę ostatnią kapkę mleka.

– I tak żremy, że świni nie tknęłyby naszego jadła!

– Zła bydlakowi marchew, to niech idzie w chrzan!

– Dam ja ci lepiej żreć, poczekaj! – wrzasnął chłop, zacinając batem synowskie portki.

– Nie bijcie, a to cisnę wszystko i pójdę sobie w cały świat! – groził płaczkliwie.

– Będzie jedną gębę mniej! A powędruj se, synku! Matka sporządzi ci torbeczki. Nie bój się, nazbierasz, ale kijów na plecy, nazbierasz! A może przystaniesz do żołnierzków? W sam raz dla ciebie rozbijać i kraść, i palić. Idź, synku! – mamrotał dotknięty do żywego.

– Ja sobie jeno tak, a ociec powstają jak na tego zlego psa! Wiecie – zaczął nagle z innej beczki – a to siwek bojał się żołnierzków!

– Głupiś! Ale taki koń i bojałby się czego! – poczuł się i prawie obrażony.

– Prawda! Latową porą pojechałem którejs nocy na rowy we dworskiej koniczynie. Byli i drugie chłopaki. Konie trzymałim na postronkach, w gotowości. Ale i tak o świtanu przydybał nas polowy! Ale nie bił i koni nie zajmował, a tylko krzyknął: „Moskale wałą przez las!”. I pojechał naprzód, a my wszystkie za nim. Stanęlim w zagajach nade drogą! Mój Jezu, było tego mrowia, że sztyki to się kolebały niby żyto na zagonie, ani początku dojrzał, ani końca! Ledwie com się napatrzył, a tu trąby jak nie hukną, zaś siwek jak nie zadrze ogona i jak nie pogna na przelaj! Zrucil me na rowach i popędził do chałupy.

– Ano, twoja to była sprawka! Teraz baczę, jako koń całą niedzielę żreć nie chciał, a tylko pił i postękiwał. A ja w głowę zachodziłem! Czekałże, ja ci za tę sztukę zapłacę!...

– Naści, głupi – stanęła w obronie matka. – Procesuje się o ten zeszłoroczny śnieg!

– Dla porządku, żeby konia szanował, frycówka go nie minie! – obiecywał.

Ale na tym się skończyło, gdyż wspomnienie utraconego konia ożyło naraz we wszystkich i opanowało jednaką żalostí. Raz po raz ktoś przypominał różne zdarzenia świadczące o jego zaletach, o jego śliczności i o jego przywiązaniu do domu. Wspominali z takim żarem tęsknoty, jakby o kimś drogim, bliskim, a już utraconym na wieki...

– Wiecie – zagadała na odpoczynku dziewczyna. – Nieraz już w nocy zdawało mi się, jako siwek rży pod chałupą. Jużcić myślałam, że to przez śpiak tak mi się majaczy! Dopiero onegdajszej nocy, kiedym przecknęła, wyraźnie slysze: cosik rży! Wychodzę na dwór z potrzebą i patrzę: siwek, nie siwek? Przeżegnałam się i przecieram oczy: coś białego rucha się pod stajnią. Myślę, uciekł tym złodziejom i przyleciał do chałupy! Skoczyłam do niego, a tu jakby wiatr zakręcił kłębem mgły i wszystko gdzieś przepadło. Jeno na drodze zatętniało i pies Wawrzonów zaczął gonić i szczeakać. Aże mnie zamroczyło ze strachu. Może zdechl i teraz tłucze się po nocach i swoich szuka...

– To konie będą przychodziły po śmierci jak te dusze pokutujące? – zgromiła matka.

– Jać nie mówię! Przysięgłabym jednak, że go widziałam. W kościele bym przysięgła!

- A bo to mu była krzywda! Miał swoje wygody i roboty mało wiele.
- Taki wam był dobry, a praliście go orczykiem i wyklinali – żgnął mściwie chłopak.
- Jak bilem, to na bicie musiał dobrze zarobić, a tobie wara!
- Zarobił, że cię schlanego przywoził z karczmy – dołożyła mu żona.

Umilkli. Deszcz się wzmagał, w bruzdach już polśniewała woda i ziemia zapadała się pod nogami, a każdą skibę przychodziło krajać coraz z większym mazołem. Orali jednak niestrudzenie. Oczy im wylazły, krew broczyła od jarzma i postronków, gnaty dziwnie pękały i w głowach się mąciło, ale chłop nieubłaganie poganiał.

– Zabijcie mnie, a już nie poradzę! – zajęczała naraz dziewczyna, wałąc się na ziemię. Przsiedli przy niej, matka obcierała jej twarz, a chłop jął się tłumaczyć.

– Trudna rada! Odzipnij, córuchno! Mus pogania. Choćby z pół morgi pod ziemniaki zaorać! Kto nie posieje, nie zbierze. Cóż to, z głodu mamy zdychać, czy ze swojego we świat iść po żebranym chlebie? Niedoczekanie wasze, ścierwy! Niedoczekanie! – zakrzyczał i zacisnąwszy pięście, groźnie potoczył oczami.

Orali dalej z niestrudzoną zaciekłością.



Henryk Rzewuski (pseud. Jarosz Bejła)
1791-1866

Hrabia, urodził się 3 maja 1791 w Sławucie na Wołyniu w rodzinie magnackiej, zmarł 28 lutego 1866 roku w Cudnowie, tamże. Wybitny powieściopisarz i publicysta epoki romantyzmu.

Uczył się w konwiktach karmelitów w Berdyczowie, w instytucie wychowawczym księdza Nicole w Petersburgu i w Krakowie. Jakiś czas był słuchaczem uniwersytetu w Paryżu.

Jego pierwszym i zarazem najważniejszym utworem są „Pamiętki J. Pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego” (1839), które stanowią barwny obraz życia XVIII-wiecznej szlachty. Do opublikowania zabawnych i dowcipnych gawęd o obyczajach Rzeczypospolitej szlacheckiej namówił go Adam Mickiewicz, którego z kolei opowieści Rzewuskiego zainspirowały do napisania „Pana Tadeusza”.

W „Pamiętkach...” pisarz dał się poznać jako autor o nieprzeciętnym talencie gawędziarza i fotograficznej wręcz pamięci. W zbiorze 25 opowieści snutych przez przedstawiciela średniej szlachty Seweryna Soplicę prezentuje całą galerię charakterystycznych postaci na tle historycznych wydarzeń. Zastosowany tu typ narracji sprawił, że Rzewuskiego nazywa się twórcą gawędy szlacheckiej jako gatunku literackiego.

Jest też autorem m.in. powieści historycznych: „Listopad”, „Zaporożec”, „Zamek krakowski” i prac publicystycznych: „Mieszaniny obyczajowe”, „Wędrówki umysłowe”.

„Sawa” (1839) z cyklu „Pamiętki...” opowiada o Kozaku, który tak się zasłużył walecznością dla Rzeczypospolitej, że został szlachcicem.

Sawa

Bez najmniejszej przesady wyznać można, że nie tylko doświadczeniem, ale pożyciem nawet nie można objąć większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Bo szlachcic, choć najuboższy, był równy magnatowi; przy pomocy Boskiej mógł sam zostać magnatem (jak tego było tyle przykładów), a tej równości z magnatem nie tracił nawet, służąc u niego. Pan Radziszewski, chorąży starodubowski, służył u księcia wojewody wileńskiego, był u niego paziem, potem dworzaninem, potem dowódcą jego milicji, a przecie urzędował Rzeczypospolitej, posłował po sejmach i został orderowym panem, i ożenił się z siostrzenicą księcia, panną Brzostowską, z tak wysokiego domu, i nikt się temu nie dziwował, gdy sam książę sprawował wesele, bośmy wszyscy byli równi byli między sobą. U nas pan był szlachcicem bogatym, a szlachcic był panem ubogim; a że pan był zawsze wysokim sługą Rzeczypospolitej, szlachcic, u niego służąc, służył razem i ojczyźnie. Już dziś panów nie ma w Polsce ani na Litwie, a za to namnożyło się podpanków, co, nie służąc ojczyźnie, nie z tego, co boli, i często nawet nie z soli ani z roli, ale z jakichś podradów, z nabyciów nieuczciwych, z handeków, lichw i podobnych szachrajstw ponabywali sobie majątków znacznych; a że i dziadów swoich nie mogą okazać, tylko albo pod cudze szlachectwa podszywają się, albo li wymyślają takie, o których ani Paprocki, ani Okolski, ani nawet Niesiecki nie wiedzieli – więc krzyczą na możnowładców dawnych, do których pewnie żaden z nich za naszych czasów ani by dostał, wynoszą postępowanie teraźniejszego czasu. Nie wiem, kto z tego postępu w narodzie korzysta. Mieszczan, co nam wyrzucano, żeśmy ich nie mieli, i teraz nie widzę, tylko po

dawnemu handlują sami Żydzi lub gdzie indziej jak Niemiec przybyły; a włościaninowi nierównie gorzej. Na Litwie już bojarów zmusili do robocizny, a na Rusi zamiast dawnych dni letnich, co je chłop po dwanaście na rok odrabiał, pędzą go od nowego roku aż do świętego Sylwestra na pańszczyznę. Pletą o prawach człowieka to, co pochwyłali z zagranicznych ksiązek; a nie wiedzą, że co tam się pisze, u nas było w doświadczeniu – i dokładniej: bo nasi przodkowie lepiej tworzyli, niż zagraniczni potrafią wymyślać. Ale czy zaszczyty i szczęście naszego szlachectwa jedynie na równości się zasadały? Szlachcic nie mógł być ani rządzonym, ani sądzonym, tylko przez tego, kogo sam wybierał; a z zagrodu swojego mógł się przenieść i na ławicę poselską, i na krzesło senatorskie – i na tron nawet. Toteż nasi przodkowie krwią swoją tego zaszczytu dokupili się dla potomków. Hetmani podawali do klejnotu szlacheckiego żołnierzy, co się w bitwach wstawiali, a sejmy ich za szlachtę przyznawali – i takich nazywano *ex charta belli*. Stąd w ostatnich czasach, kiedy król Poniatowski otrzymał pozwolenie co roku po kilku nobilitować, pozwolenie, z którego do zbytku nadużył, że były co sejm skargi i domagania się, choć daremne, posłów, aby metryki koronne im składać, bo król zamiast kilku kilkuset może nobilitował. Zawsze jednak były dodawane te wyrazy: *praeciso skartabellatu*, chociaż to nie było za zasługi wojenne. Była nawet czas jakiś konstytucja ubezpieczająca szlachectwo każdemu Żydowi przyjmującemu wiarę katolicką, prawo pobożne, przeciw któremu nie można było sarkać, bo stworzone było do gorliwości narodowej, chcącej wszelkimi środkami rozprzestrzeniać królestwo Boże na ziemi. Ale takowe szlachectwa nie były u nas poważane, bo zdawało się nam, iż stan rycerski w rycerskich tylko zasługach powinien szukać swojego początku. A szlachectwo *ex charta belli*, choć świeże, było na równi z najdawniejszym poważane. Nie podszywano się dawniej do cudzych szlachectw, ale prawnie do nich przystępowano. Kiedy hetman Żółkiewski podał do szlachectwa czterdziestu mężów-włościan, co się wstawili pod Kluzynem, sejm im wszystkim nadał nazwisko Żółkiewskich, tylko im kazał pieczętować się nie Lubiczem Żółkiewskich, ale jakimś innym herbem, dla uniknięcia familijnego zamieszania. Toż i hetman Rewera Potocki do klejnotu szlacheckiego podał wielu chłopów ukraińskich, co nie tylko, że do buntu Chmielnickiego należeć nie chcieli, ale z nim razem krew za ojczyznę przelewali, i sejm potwierdził jego sprawiedliwe żądanie: stąd na Rusi powstałi Sabatynowie, Ułaszyńcy, Jaroszyńscy, Santamany i inni, którzy bez niczyjego zgorszenia przystąpili do udziałności szlacheckiej, a z których ojczyzna miała potem pociechę. Dlatego bardzo nam było przykro, kiedy przybysz, przywłaszczony sobie szlachectwo, nieprawnie za jednego z naszych chciał uchodzić, bez innych zasług, tylko że miał pieniądze. Na takiego zawsze się znachodził potomek zasłużonego przodka, nierad, aby czy mieszczanin, czy chłop

zbiegły, mógł zostać jego sędzią lub prawodawcą, a może i królem. Ten mu zadawał imparitatem, a gdy mu je dowiódł, samozwaniec cały majątek utracił, który najczęściej iure caduco dostawał się temu, co go przekonał o nieprawie posiadanie zaszczytu jemu nienależnego i tym uwolnił obywatelstwo swojego województwa od wielkiego zgorszenia; ile że gdyby mu tego nie dowiódł, podpadał poena talionis. Młodzieży teraz o tym gadać, to słucha, jakby o żelaznym wilku jej pleciono; albo ona rozumie, czym było nasze szlachectwo! Wie ona z historii, że Jan Zamojski podpisał się: *Nobilis Polonus omnibus par* – a może o tym nie wie, że na Litwie jest kilkadziesiąt domów, co książęcego tytułu nosić nie chcą, a mają do niego prawo. Nie tylko Ogińscy, ale Puzynowie, Mickiewicz, Świrscy, Wańkowiczowie, Mirscy, noszą mitry na herbach i są prawdziwymi książętami, do czego nigdy przyznawać się nie chcieli, przez miłość równości szlacheckiej, i po wtóre, co księstwo prawdziwemu szlachcicowi dodawało? Jeszcze to nie najdawniej, kiedy książę de Ligne, panujący w Niemczech, ożeniwszy syna swojego z naszą księżniczką Massalską, starał się o indygenat dla siebie na sejmie 1786 roku; otrzymał ten zaszczyt, ale z takimi trudnościami, że powiedział publicznie: „Łatwiej w Niemczech o udziałność niż w Polsce o szlachectwo”. – I dziwi się młodzież, że ci sami, co długo truty nowali, czy tak wielkiego męża, hetmana rzymskiego cesarza i księcia udzielnego, przyjął szlachcicem lub nie, obruszał się na jakiegoś rzeźnika lub bandurzystę, co sam siebie nobilitując, deptał najkardynalniejsze prawo narodu! A potem doświadczenie przekonywa, że z ludzi podejrzanego szlachectwa niewielka pociecha. W podróży swojej do Ukrainy pan Sakowicz pisze, że w okolicach Machnówki dziedzice tak bezczelni, że jeden drugiemu psy i konie kradnie wśród białego dnia. Taka rzecz, niesłychana dawniej po szlachcie, mocno mnie była zastanowiła i temu wierzyć nie mogłem, jakoż i teraz myślę, że trochę przysadził pan Sakowicz. Ale już teraz miarkuję, skąd coś podobnego wyjść mogło. Dowiedziałem się, że JW. Potocki, wojewoda kijowski, został handlarzem i do swojego miasteczka Machnówki pościagał do tych różnych buchalteryj, do których szlachta nasza niezdatna, różnych przechrztów, a popowiczów, a mieszczuchów: tego do pióra, tego do kasy, tego do transportów. A oni, nazbierawszy grosza, szlachtą się porobili i między sobą porozdzielali część dziedzictwa wojewody, a że zabór zaraz nastąpił, to im uszło i *via facti* utrzymali się przy szlachectwie: i teraz urzędują i nosy do góry zadzierają ich synowie. I cóż może być dobrego z takich? Nie lepiej było za naszych czasów kadukiem pozbyć się takiego śmiecia, niż jak dziś być nim obsypanym? I chwała niech będzie Bogu, że jeszcze na Litwie szlachta się trzyma i od dziadów i naddziadów na dziedzicznej roli pracuje. Toteż takich paskudztw o nas nie piszą. Tłumacząc jasnie, dlaczego my tak nasze szlachectwo cenili. Nie była to pycha, ale natura naszych ustaw, naszej Rzeczypospolitej; a kto jej był zasłużonym, tym samym

mieliśmy go nie tylko za szlachcica, ale za magnata, choćby się urodził chłopem. I na dowód tego przytoczę przykład pana Sawy, co się urodził prostym kozakiem, nobilitacji nie miał, a był marszałkiem zakroczymskim w czasie konfederacji barskiej.

Znał mnie on, bo prawie na moim ręku skonał; a chociaż, nie chwając się, z dawnego rodu jestem szlachcicem (bo każdemu w metrykach koronnych wolno odczytać, jak sześciu Sopliców podpisało się na elekcję króla Stefana), byłem mu posłuszny. A nie tylko ja i mnie podobni, ale JW. Potoccy, wojewodzie wołyńscy, byli pod nim regimentarzami, a choć magnaci całą gębą, drżeli przed nim. Razu jednego za to, że jeden z wojewodzców nie dość prędko dopełnił jego rozkazu, czym Drewiczowi udało się wyjść prawie z naszych rąk, to pan Sawa jak zaczął lajać wojewodzica i grozić mu, że jeżeli kiedykolwiek dopuści się podobnej niepilności, to każe mu w leb wypalić. To było w obliczu wielkich panów, zapewne spokrewnionych z wojewodzicem, a nikt nie powiedział: „A co to ma kozak gnębić senatorskiego syna?” – bo wszyscy mieli Sawę za równego siebie. Jakoż on poświęceniem dla ojczyzny wyrównał te zasługi, które magnaci po przodkach swoich odziedziczyli, a którymi jedynie są magnatami.

Sawa urodził się w czechryńskim starostwie, skąd był ów przeklęty zbrodnień Chmielnicki (tak to z jednego drzewa może być i krzyż, i motyka!), a że od dzieciństwa umiał śpiewać dumki i grać na bandurce, pan Woronicz, wówczas starosta czechryński, przywiózł go małego do Warszawy, a gdy go odumarł, a Sawa podrosł, po dworach służył za kozaka; bandurkę zarzucił, a nawykł do innych zabaw: i spisa, i szablą tęgo robił, i na polowaniach zające z pistoletu bil, i naszego języka się wyuczył, i nasz obrządek przyjął; chociaż i pierw był katolikiem, jeno obrządku ruskiego, ale mając szlachetne serce, jak najmniej się chciał różnić od szlachty. On to w czasie siedmioletniej wojny w pułku Szybalskiego – prostego, jak on, włościanina – Fryderykowi pruskiemu służył i niepospolitą sławę zjednał; i mógłby tam los sobie zapewnić, ale zateśkniwszy za ojczyznę, do niej powrócił, a jako nieszlachcic, nie mógł się w komputowym wojsku umieścić i musiał na nowo po panach służyć. Otóż kiedy się zaczęła konfederacja barska, był wielki zjazd w Piotrkowie, na reasumpcji trybunału, i mnóstwo było panów z licznymi pocztami; a że wielcy panowie, co prawie wszyscy mieli dobra na Rusi, utrzymywali kozaków zbrojnych na koniach, w Piotrkowie było ich kilkuset. A Sawa, co się znajdował pod tę porę w Piotrkowie, i wisiał przy dworze JW. Działyńskiego, marszałka trybunału, że sam był kozakiem, łatwo się z nimi porozumiał i tak koło nich pochodził, że mógł na nich liczyć jak na cztery tuzy. I kiedy pan Kwilecki, starosta kościański, po podniesieniu konfederacji w Poznaniu, poszedł ku Piotrkowowi, rozbiwszy księcia Soltykowa pod Rozrażowem, Sawa, zebrawszy do półtrzecia sta kozaków na dobrych koniach,

wśród dnia wyszedł z Piotrkowa, spotkawszy rejterującego się Soltykowa, na niego napadł niespodzianie, rozbił go do reszty, zabrał mu armaty, jego samego wziął w niewolę, złączył się z panem Kwileckim i z nim razem wszedł do Piotrkowa. Ten wypadek rozszerzył konfederację po całej Wielkopolsce. Pan Kwilecki oddał Sawie dowództwo swojej przedniej straży i zaczęli maszerować ku Warszawie, jako Sawa upewniał, że stolica dostanie się w ich rękę, że gwardia koronna z nimi się złączy, i że nie ma czego się obawiać stojących tam Moskali. Gdyby posłuchano pana Sawy, inny kierunek rzeczy by wzięły. Ale doszedłszy do Bolimowa, pan Kwilecki odebrał wiadomość, że całe Kujawy i Płockie powstaną, aby tylko jeden zbrojny konfederat im się pokazał. I to go zdecydowało zaniechać Warszawę, której się prawie dotykał, a dostać się na prawy brzeg Wisły. – „Nuż nam się nie uda opanować Warszawy – mówił Sawie – bo ten tchórz Poniatowski, co mógł, to zebrał na swoją obronę? Jeżeli porażeni zostaniem, cała konfederacja wielkopolska przepadnie, której i trzecia część jeszcze nie powstała. Lepiej nam się wzmocnić w Płockiem, otworzyć związki z Litwą, a dopiero na pewno pójść do Warszawy”. – Na próżno Sawa ofiarował mu z swoją awangardą samemu napaść na stolicę, tak był pewny swojego, na próżno cały szwadron pułku Mirowskich, prowadzony przez swojego porucznika Franciszka Dzierżanowskiego, przeszedł na naszą stronę pod samym Bolimowem, który doniesieniem świeżym potwierdzał wszystkie wnioski Sawy – nic nie mogło przekonać pana Kwileckiego, który sam był dobrym żołnierzem, w wojsku francuskim w młodości swojej służył, ale na nieszczęście więcej wierzył w naukowe zagraniczne zasady wojskowości, niżeli w instynkta polskie, tym więcej, że popierał go w zdaniu inżynier francuski przy nim będący, a któremu mocno wierzył. Z boleścią serca tedy Sawa musiał prowadzić awangardę ku Wyszogrodowi, gdzie się przez Wisłę przeprawili szczęśliwie.

W istocie pod pewnym względem nie pomylił się pan Kwilecki, bo jak tylko gruchnęła wiadomość, że nasi opanowali Wyszogród, całe Kujawy i Płockie podniosły konfederację. Tam oddzielił od siebie Sawę pan Kwilecki, sam poszedł do Płocka, dla poparcia konfederacji, a Sawę we trzysta koni posłał ku Zakroczyomiowi, aby rozszerzać powstanie na Mazowszu. Pan Franciszek Dzierżanowski z częścią Mirowskich, których jemu zostawił, z rozporządzenia pana Kwileckiego poszedł pod komendę Sawy. Z początku chciał z nim kota drzeć, jak szlachcic i oficer gwardii z kozakiem, ale pan Sawa tak mu się dał poznać, że chociaż pan Dzierżanowski przy nadzwyczajnym męstwie był dość burzliwym, tak go słuchał jak dziecię piastunki.

W Zakroczymiu stał batalion moskiewski i kilkuset dońców, ale mnóstwo tamecznej młodzieży szlacheckiej do naszych umknęło i zaciągnęło się pod znaki Sawy. Moskale, widząc, że dąży ku Zakroczyomiowi, wyszli naprzeciw niemu, tym pewniejsi zwycięstwa,

że silny oddział karabinierów przyszedł był do nich z Warszawy. Rozwinęli się Moskale przed Zakroczymiem i na widok naszych zaczęli strzelać z armat, kiedy jeszcze niepodobieństwem było nikogo trafić. Pan Sawa zalecił panu Dzierżanowskiemu cofać się przed kawalerią moskiewską, a sam, zakryty jego obrotem, rzucił się w lewo, by napaść na piechotę, jak się jazda oddali. Udało się doskonale. Pan Dzierżanowski, uciekając przed karabinierami i dońcami, tak ich za sobą wyprowadził, że pan Sawa jak piorun pokazał się pod samym Zakroczymiem. Piechota moskiewska uszykowała się w czworobok i dała ognia; ale pan Sawa nie dał im się poprawić, czworobok złamał, cztery armaty zabrał i cały batalion co do nogi wyciął. Opamiętała się jazda moskiewska, że się oddaliła, wzięła się więc do odwrotu. Ale tu pan Dzierżanowski zaczął ją gnębić, jednak w największym porządku szła, pokąd myśląc, że do swojej piechoty się cofa. Pan Sawa ją przywitał kartaczami z armat, przez siebie zdobytych; natenczas wszystko się rozsypało: ten do lasa, ten do Sasa, a pan Dzierżanowski tego nachwytał, ile sam chciał.

I tak wszedł pan Sawa do Zakroczymia, gdzie mnóstwo było obywatelów, po klasztorach uwięzionych, którym natychmiast wrota otworzono. Liczne magazyny wpadły w jego ręce, a czego pan Sawa dla wojska nie użył, rozdał między mieszkańcami, i nie tracąc czasu, zebrał szlachtę będącą w mieście, aby natychmiast sporządziła akt powstania. Tak się podniosła konfederacja w Zakroczymiu; marszałkiem jednomyślnie ogłoszonym został Sawa, a regimentarzami panowie Lelewel i Kiciński. – „Bójcie się Boga, panowie! Ja prosty kozak, jak ja mam nad wami marszałkować?” – „Innego marszałka nie chcemy! – krzyknęła szlachta. – Pan Bóg i twoje zasługi zrobiły ciebie polskim szlachcicem, nim sejm ciebie takim uzna”.

Przy tym nie byłem, ale świadom jestem, jakbym temu wszystkiemu [był] przytomny; bo wiem to i od samego pana marszałka Sawy, i od pana Dzierżanowskiego, i od pana Lelewela, regimentarza zakroczymskiego, i od wielu innych, z którymi później służyłem, a wszystkich relacje na jedno godzą się. Dość, że ta sama szlachta, co nie tylko urzędziku, ale wioski dzierżać by nie pozwoliła nieszlachcicowi, marszałkiem swoim ogłosiła kozaka: bo nasza дума szlachecka nie była ad destruendum, sed ad oedificandum patriae. A sam widziałem, jak inni marszałkowie, i sam JW. Pac, co był nad nimi wszystkimi, obcowali z nim jak z równym i szanowali go tak, że gdyby go wyniesiono i na kasztelana krakowskiego, nikt by się ani nie skrzywił, taki z niego był wielki wojownik i godny obywatel. – Ciągłe się wstawiał marszałek zakroczymski; gdzie było największe niebezpieczeństwo, można było zakład trzymać, że się jego znajdzie. A że ludzie przy nim i za nim padali, że kule ustawicznie mu dziury robiły w odzieniu, tak że zawsze łatany chodził, a sam nigdy plejzerowany nie był, a Rusini, że są zabobonni, między jego kozakami było

przekonanie, że on był charakternikiem, jak mówią na Ukrainie, to jest, że umiał kule zamawiać, iż go żadna trafić nie mogła. Więc to od nich i po nas rozeszło się; przyznaje, że sam temu wierzyłem, a to mniemanie bardzo jego obrażało; raz, że był dobrym katolikiem, po wtóre, że jako rycerz miał siebie za zhańbionego, iż o nim myślano, że na pewno w niebezpieczeństwo idzie; i nieraz świadkiem byłem, jak przeklinał swoje szczęście, że rany dostać nie może. Ale na moje i ojczyzny nieszczęście przekonałem się, że nie był on charakternikiem. Bo już kiedy nasze zaczęły się interesa płatać, pan Sawa przedsięwziął próbować, czy mu się uda wziąć Warszawę, zebrał z różnych komend do tysiąca jazdy, między którymi i ja mu się dostałem; szliśmy więc lasami powiatu radomskiego; często udawało nam się gromić oddziały moskiewskie, nawet pod Jedlińskiem DREWICZAŚMY ZBILI i może byśmy go samego wzięli, gdyby pan regimentarz Potocki nie był się o jedną godzinę spóźnił; ale tak wzięliśmy przeszło pięćdziesiąt jego huzarów, których wszystkich kazał pan marszałek zakłuć i pastwiono się nad nimi. Pan Sawa był ludzki i z niewolnikami moskiewskimi łagodnie się obchodził; ale że DREWICZ wielkie okrucieństwa popełniał, żonom konfederatów piersi odrzynał i niewolnikom skóry z ramion zdzierał, by im wyloty wiszące robić – więc pan Sawa równym się okrucieństwem odplacał niewolnikom jego komendy. Po tym zwycięstwie poszliśmy dalej, zawsze dążąc ku Warszawie; Suwarow, natenczas brygadier, we cztery tysiące ludzi oddzielił się, by nas ścigać, i zastąpił nam drogę pod Mszczonowem. Sawa, choć nierównej siły, odważył się pójść wstępny boj. Mszczonów był w ręku Moskali; staw wielki przedzielał ich od nas, a grobla długa prowadziła do miasteczka. Już jazda moskiewska przeszła była groblę i piechota zaczynała przez nią przechodzić. Pan marszałek chciał napaść na jazdę, nim piechota przejdzie – i skrzydłem ją atakując, od grobli oderznąć. Na to uszykował do boju prawie cały swój korpus, pana wojewodzica wołyńskiego zostawiwszy w odwodzie z półtora sta końmi. Dobrze się udało było, bo zaraz uderzył na nich, że zaczęli uciekać w nieporządku, i już ich był oderznął, ale nad samą groblą na wzgórzu stały armaty moskiewskie, które jak dały ognia, od pierwszego wystrzału pan Sawa dostał kartaczem w udo, że spadł z konia. Była to jego rana pierwsza i ostatnia. Kozacy, co byli do niego jak do ojca przywiązani, widząc go rannym, okropnie się pomieszały (oni to mieli go za charakternika), podnieśli go, a on z największą przytomnością oddał komendę regimentarzowi zakroczymskiemu Lelewelowi, zlecając mu, by ścigał pierzchającą jazdę moskiewską, a sam kazał się zanieść do karczmy, pod którą stał wojewodzie wołyński z odwodem, gdzie i ja się znajdowałem.

Zaczelismy obwiazywać, jak umieli, ranę pana Sawy. Cierpiał mocno, jak widać było po twarzy, jednak najmniejszego jęku nie wydał, tylko wszystko patrzył na komendę

swoją, którą panu Lelewelowi był oddał. Ale ten jej rady dać nie mógł; bo jak się spostrzegli, że nie Sawa ich prowadzi, pierzchnęli tak, że uciekający Moskale opatrzli się i na nowo zaczęli się szykować. Pan Sawa, widząc, że dobrowolnie nasi na zgubę idą, choć udręczony boleściami, kazał wynieść kołyskę z karczmy i ją przywiązać do dwóch koni swoich najlepszych, na których posadził doświadczonych kozaków, a samego siebie kazał włożyć w kołyskę tak, że między dwoma kozakami na powietrzu wisiał i kazał sobie podać porporzec. Tak niebezpiecznie i niewygodnie siedząc, uszykował nasz odwód i zakomenderował naprzód, aby do powrotu zmusić uciekających żołnierzy. Jakóż oni na widok wodza opamiętali się, który, wisząc między końmi w powietrzu, przy najokropniejszych bólach do ataku nas wszystkich prowadził, złamał szyk moskiewski i zmusił ich do ucieczki. Ale wszystko było za późno. Już i piechota moskiewska, i armaty przepawiły się były przez groblę. Jak zaczęli więc dawać ognia do nas, sam pan Sawa pomiarkował, że nie ma nic do czynienia, tylko albo uciekać, albo doczekać się, aż co do jednego nas wszystkich ubiją. A że boleści jego coraz więcej się wzmagaly, że od rozumu aż odchodził, tyle tylko, że korpus odprowadził poza Mszczonowską Wolę, a przedzieliwszy się wsią od ścigającej nas kawalerii moskiewskiej, która, dwa razy rozsypana, po trzeci raz na karku nam siedziała, z dwóch stron kazał wioskę podpalić. A wiatr był tak wielki, iż wkrótce cała objęta została płomieniem; to wstrzymało na jakiś czas Moskalów. Dopiero pan Sawa na dwie części podzielił swój korpus. Dowództwo jednej oddał wojewodzie wołyńskiemu, a drugiej poruczył panu Lelewelowi; zalecając im najmocniej, aby każdy inną drogą się cofał ku krakowskiemu województwu i nigdy nie łączyli się z sobą; a sam z dwoma kozakami i ze mną, co nie chciałem jego odstąpić, został, żegnając się z swoimi, których pocieszył przyrzeczeniem, że jak tylko się wyleczy, ich znajdzie, gdzie by oni nie byli. Myśmy wszystkie konie zostawili przy komendzie, a jego na rękach w las piechotaśmy unieśli i pierwszą noc przepędziliśmy między krzewinami pod gołym niebem, ratując, jak można było, pana marszałka, który coraz był słabszy, że aż ustawicznie omdlewał. Nazajutrz z rana, bląkając się po lesie, trafiliśmy na chałupę jednego z podleśniczych mszczonowskiej puszczy i tam oddawszy się Bogu, na oślepek do chałupy weszli; bo trzeba koniecznie było w spokojnym miejscu złożyć pana Sawę, inaczej byłby nam skonał w rękach. A podleśniczy pokazał się poczciwym szlachcicem i ojczyźnie wiernym; a choć ubogi i obarczony dziećmi, ostatkiem z nami się podzielił. Poprzebierał mnie i kozaków za gajowych, pościel swoją w zamkniętej komorze posłał i na niej marszałka złożył, gdzie podleśniczyna jego pilnowała; a sam w nocy wózkem udał się do Mszczonowa, skąd Żyda cyrulika przywiózł. Ten opatrzył rany pana Sawy, którego udo było tak spuchnięte, że wszystko trzeba było na nim pokrajać.

Boleści tak się odnowiły za pierwszym opatrzeniem, że nie mógł wytrzymać i jęknął kilka razy, a potem zemdlął, żeśmy go ledwie ocucili. A przyszedłszy do siebie, powiedział nam: – „A co? Wszak przekonałście się, że nie charakternik?”.

Umówił się cyrulik, żeby co nocy po niego przyjeżdżano; a w dzień szanowna nasza gospodyni, pani Kleczkowska; którejśmy powierzyli, jako [i] jej mężowi, jakiego wielkiego człowieka mają w swym domu, cały dzień jego pielęgnowała jak rodzzonego ojca. I dobrze nam szło przez tydzień, bo pan marszałek już zaczynał przychodzić do siebie i na jednej nodze skacząc, przenoślił się już z łóżka do kufra pani Kleczkowskiej, na którym siadywał, aby nie nadto zaleniwieć. I robił nam cyrulik nadzieję, że za parę tygodni będzie mógł na koniu siedzieć. Ale w Mszczonowie stała komenda moskiewska: bo przed Suwarowem pan wojewodzie wołyński nie umknął i w kilkanaście godzin po rozstaniu się naszym rozbity, dostał się w niewolę z mnóstwem naszych, bo z około trzechset ludzi, co ich miał jeszcze, ledwo pięćdziesiąt się wyratowało, a wszystko albo ubite, albo zabrali Moskale. Otóż od niewolników Suwarow się dowiedział, że Sawa, ranny zaraz po mszczonowskiej potyczce, opuścił komendę, wnioskował, że koniecznie musi się ukrywać gdzieś w okolicach Mszczonowa. A że jemu bardzo szło, aby go dostać, raz, że to był jeden z najdzielniejszych wodzów konfederacji, po wtóre, że chciał na nim pomścić wielu drowiczowskich huzarów, którym ręce i nosy kazał poodrzynać pan Sawa, odwetując się ich okrucieństwem, o których nadmienilem, oddzielił więc od siebie pułkownika ze znacznym oddziałem i kazał mu stanąć w Mszczonowie i koniecznie dostać Sawy.

Gdzie diabelska robota, zawsze sam diabeł pomaga. A że wojsko moskiewskie na dwie części się dzieli: połowa oficerów żołnierze, a połowa szpiegi, i tych ostatnich większa wziętość i prędsze postąpienie niż pierwszych (szpiegowskie rzemiosło u nich przyszło do wysokiego stopnia doskonałości), dosłędzili więc, że cyrulik mszczonowski tajemnie co nocy gdzieś wyjeżdża. Łapią jego i dopóty biją, aż się przyznaje; więc sadowią go na koniu, aby był ich przewodnikiem, i w czterdziestu jeźdźców zbrojnych za nim idą do leśnej chałupy. Otaczają ją, a w kilku wpadają w środek. Gospodyni im grzeczności robi, rada ich potraktować, ale oni, obrząsnawszy chatę, widzą izbę zamkniętą, wysadzają drzwi i zastają pana Sawę, siedzącego z pistoletem w ręku. – „Pierwszy z was, co do mnie przystąpi, w leb mu wystrzelę”.

Cofnął się oficer, ale natychmiast kazał chałupę zapalić. Wpadliśmy ja i dwaj kozacy i wynieśliśmy pana marszałka. Jak go zobaczył oficer za domem, odezwał się: – „A co, kapitulujesz, waćpan?”.

– „Oto moja kapitulacja!” – odpowiedział marszałek i wystrzeliwszy, pierś mu przeszył. Drugi oficer krzyknął: – Zakoli jego!

My, choć bezbronni, rzuciliśmy się, by go ciałem naszym zasłonić; ale jak mnie jeden Moskal szablą dal po łbie, krew mnie oblała i przygluszony zostałem, a kilku na mnie wpadło z postronkami i związali mnie, żem ruszyć się nie mógł. A pana marszałka, bezbronniego, zaczął jeden oficer, jak się pokazało, Polak w służbie moskiewskiej, bić go po łbie drzewcem od spisy; naszych dwóch kozaków, to widząc, z gołymi rękami odepchnęli oficera; ale on ich obydwóch zakłuć kazał i ci przy mnie skonali, mając oczy obrócone na pana JW. marszałka. Oficer od dońców zgorszył się postępkim Polaka i sam zaczął zasłaniać naszego wodza, mówiąc: „Leżaszczaho nie bit” – i dopiero się zreflektował, że jak go żywego przyprowadzi do generała, prędzej dostanie krzyż, niż gdy trupa przyniesie.

I na jednym wozie nas obydwóch przewieziono do Mszczonowa: mnie z głową obwiązaną i związanego, żem ruszyć nie mógł, a pana Sawy kilkakrotnie pokłutego, z głową spuchniętą, z bandażem od rany oderwanym, że do człowieka nie był podobny. Każde ruszenie ciasnego woza, którego cwalem konie ciągnęły, było dla mnie istną torturą, a cóż dopiero pana marszałka, który całą drogę odprawiał psalmy pokutne i taką mnie głos jego impresję zrobił, że chociaż już pięćdziesiąt lat i więcej minęło, ile razy mówię lub słyszę: Miserere mei, Domine, secundum magnam misericordiam tuam, zaraz mi staje przed oczyma marszałek zakroczymski i łzami się zalewam. I teraz to pisząc, płacę.

Przywieźli nas do Mszczonowa, gdzie miał komendę generał Potapow, Moskal rodowity, człowiek godny i tkliwy. On bardzo się z nami ludzko obchodził: do pana Sawy mówił z szacunkiem i łagodnością, i jemu dał izbę we własnej swojej kwaterze, którą z nim podzielałem wedle woli jego. Z błotem zmieszał generał oficera za barbarzyńskie jego z nami obydwoma, a szczególnie z marszałkiem, obejście; swojemu cyrulikowi kazał nasze rany opatrywać i zapytał pana Sawy, czego on pragnie, a że wszelkie jego rozkazy dopełniać starać się będzie.

– „Niedługo panu generałowi naprzykrzę się – odpowiedział mąż – bo czuję, że wszystko się kończy; ale prosiłbym o księdza”. – Jakoż natychmiast proboszcza sprowadzono, który go wyspowiadał i dał mu Ciało Pańskie, potem zaczął odprawiać pacierze, które za nim powtarzał pan Sawa bardzo przytomnie, że nie mogłem do głowy sobie przypuścić, aby był tak bliskim śmierci. A potem niby zasnął cokolwiek, ale wkrótce się ocknął i powiedział mnie: – „Oto mam na sobie szkaplerz, w którym zaszyte są relikwie św. Wojciecha; jak skonam, zdejmiesz go i zaklinam waćpana, byś go oddał panu Kazimierzowi Puławskiemu, staroście wareckiemu. Jeśli ci się uda z nim się obaczyć, powiedz mu, żem do śmierci był jego przyjacielem, a poproś go, by ten szkaplerz nosił jako ostatnią ode mnie pamiątkę”. – Potem zażądał wody, wziął jej do ust, ale już przelknąć

nie mógł i coś mówił niewyraźnie, ale można tylko dosłyszeć: „Jezus, Maria, Józef” – i zaczął konać. Nie pamiętam, co się ze mną działo, ale jednak jego rozkaz dopełniłem, bo szkaplerz zdjąłem i ciągle go nosiłem, aż dopóki się obaczyłem z panem starostą, co nieprędko nastąpiło. A potem mnie wraz z innymi niewolnikami, między którymi był i JW. Potocki, wojewodzie wołyński, wyprawili aż do Kazania; a Bóg świadek, że mnie czulem utratę wolności, jak że ojczyzna już nie będzie się cieszyć tak dzielnym i poczciwym synem, jakim był pan Sawa.



Henryk Sienkiewicz (pseud. *Litwos*)
1846-1916

Urodził się 5 maja 1846 roku w Woli Okrzejskiej na Podlasiu, zmarł 15 listopada 1916 roku w Vevey w Szwajcarii. Powieściopisarz, nowelista, dziennikarz, publicysta. Pisarz epoki pozytywizmu. Laureat literackiej Nagrody Nobla za całokształt twórczości.

Pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej. Uczęszczał do kilku gimnazjów warszawskich, studiował prawo, medycynę i polonistykę w Szkole Głównej Warszawskiej, później na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. Zaczął pracę jako dziennikarz, reporter i felietonista w prasie warszawskiej.

Pierwsze próby literackie podjął na studiach. Debiutował w 1869 roku na łamach „Przeglądu Tygodniowego” recenzją teatralną. Pierwszą powieść „Na marne” opublikował w 1872 roku. Pisywał też felietony i nowele, m.in. „Hania”, „Janko Muzykant”, „Latarnik”.

Sławę i uznanie przyniosła mu Trylogia („Ogniem i mieczem”, „Potop” i „Pan Wołodyjowski”). W dorobku ma jeszcze m.in.: „Quo Vadis”, „Krzyżacy”, „Rodzina Połanieckich”, „W pustyni i w puszczy”. Jego powieści historyczne były pisane według maksymy „ku pokrzepieniu serc”. Rodacy wielbili go za budzenie poczucia narodowej wspólnoty i patriotycznego ducha. Dzieła Sienkiewicza zostały przetłumaczone na dziesiątki języków.

Nowela „Sachem” (1889) opisuje losy indiańskiej osady zniszczonej przez bezwzględnych białych. Pisarz manifestuje w niej nieufność wobec perspektyw postępu kapitalistycznego.

Sachem

Wmieście Antylopie, położonym nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Teksas, spieszył kto żyw na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tym większe, że od czasu założenia miasta pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstreli i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nie tylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki, na tym samym miejscu, na którym stoi Antylopa, wznosiła się osada indiańska zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Węzów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim: Berlinowi, Gründenu i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indianie bronili wprawdzie tylko swego „terytorium”, które rząd stanowy Teksasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszymi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić kolonistów z Berlina, Gründenu i Harmonii? Pewnym jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, wodę i powietrze, ale natomiast wnosili cywilizację; czerwonoskórzy zaś okazywali im wdzięczność na swój sposób, to jest zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Gründenu i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset i wezwawszy na pomoc Meksykanów z La Ora, napadli na uśpioną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spalona, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziały wojowników, które w tym czasie wyszły na lowy. Z samego miasta nie ocalił się nikt, głównie dlatego, że miasto leżało w widłach rzeki, która jak zwykle na wiosnę rozlawszy otoczyła osadę

nieprzebytą tonią wód. Ale toż samo widlaste położenie, które zgubiło Indian, podobalo się Niemcom. Z widel źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Gründenu i Harmonii rozpoczęła się emigracja do widel, w których też w mgnieniu oka, na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony widel kopalnię żywego srebra, którego eksploatacja podwoiła liczbę mieszkańców. W siódmym roku, z mocy prawa Lynch powieszono na placu miejskim dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Wężów, schwytanych w pobliskim lesie Umarłych – i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa Tagblatty i jedna Montagsrevue. Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Wężów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt „O prawach narodów”.

Bogatsi mieszkańcy przebąkaliwali o potrzebie założenia uniwersytetu, do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywym srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, rządni, pracowici, systematyczni, otyli. Kto by w późniejszych czasach odwiedził już kilkunastotysięczną Antylopę, ten by w bogatych kupcach miejscowych nie poznał tych niemilosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warsztatach, biurach; wieczory spędzali w piwiarni „Pod Złotym Słońcem” przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gardłowych, tych: Mahlzeit! Mahlzeit!, tych flegmatycznych: Nun ja wissen Sie, Herr Müller, ist das aber möglich?, tych dźwięków kufla, szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybie oczy, można by mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub Monachium, nie zaś na zgłiszczach Chiavatty. Ale w mieście wszystko już było ganz gemütlich i o zgłiszzczach nikt nie myślał. Tego wieczoru ludność spieszyła oto do cyrku, raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą, jak przyjemną, po wtóre, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie zjeżdżają do lada miasteczka, przybycie więc trupy Hon. M. Deana stwierdzało poniekąd wielkość i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza, przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto Nr 2 programu mówił, co następuje: „Spacer na drucie zawieszonym na piętnaście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk

Czerwony Sęp, sachem (wódz) Czarnych Wężów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokolenia: 1) Spacer. 2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci”. Jeżeli gdzie, to w Antylopie ten „sachem” mógł obudzić najwyższe zajęcie. Hon. M. Dean opowiadał „Pod Złotym Słońcem”, iż przed piętnastu laty, w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Tornado umierającego starego Indianina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem zabitego „sachema” Czarnych Wężów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą Hon. M. Dean dopiero „Pod Złotym Słońcem” dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavattą – i że słynny linochód będzie się popisował na grobach ojców. Wiadomość ta wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na great attraction, byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli Indianina, pokazać ostatniego z Czarnych Wężów i powiedzieć: „Patrzcie, oto takich w pień wyróżniliśmy przed laty piętnastu”. Ach, Herr-Jeh! – Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W całym też mieście powtarzano bez ustanku: Sachem, sachem!

Dzieci od rana zagłądały przez szpary w deskach, z twarzami rozciekawionymi i przerażonymi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wracając ze szkoły, maszerowali groźnie, sami nie wiedząc, dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiazdzista. Powiew z za miasta przynosi zapach gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem siodła. W cyrku bije luna światła. Ogromne smolne pochodnie, zatknięte przed główną bramą, palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszcami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jest to świeżo wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze śpiczastym dachem i z gwiazdzistą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na których wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskórymi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecone wnętrza bufetu z setkami kufla szklanych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na dobre i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkimi i wkrótce ciemna, ruchliwa masa pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić do niego rur gazowych, to natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych, oblewa

arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać opasle, przechylone w tył dla folgi podbródkom głowy piwoszów, młode twarze kobiece i śliczne, zdziwione buzie dziecinne, których oczy niemal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolone i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów, przerywanych okrzykami: Frisch Wasser! Frisch Bier! – wszyscy z niecierpliwością oczekują zaczęcia. Na koniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześciu masztalerzy w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozhukany koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest to tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda Mathilde, córka piwowara z Opuncia-Gasse, zaniepokojona jej widokiem, pochyla się do ucha młodego grocernika Flossa z tejże ulicy i pyta z cicha: czy ją kocha jeszcze? Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką, wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica; brawa się sypią. Co za przepyszne przedstawienie! Ale Nr 1 mija prędko. Nadchodzi Nr 2. Wyraz: sachem! sachem! przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów, bijących się ciągle po twarzach, nikt już nie zważa. Wśród ich małych ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje grać Yankee Doodle, a gra posępną arię Komandora z Don Juana; zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukaże się straszliwy sachem, ostatni z Czarnych Wężów. Ale cóż to?... Wchodzi nie sachem, jeno sam dyrektor trupy, Hon. M. Dean. Klania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić „laskawych i szanownych gentlemanów oraz piękne i nie mniej szanowne ladies o nadzwyczaj spokojne zachowywanie się, niedawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dzikszys niż zwykle”. Słowa te sprawiają niemal wrażenie i dziwna rzecz, ci sami honoratiores Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blisko, tuż koło parapetu, skąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnym utęsknieniem na górne sfery cyrkowe i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tym duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? Przecież wychował się od młodych lat w trupie Hon. M. Deana, złożonej przeważnie z Niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnym. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wyrzucić swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni, Niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny i nie myślą o niej więcej, niż na to business pozwala. Przede wszystkim trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać tak dobrze każdy filister, jak i ostatni z Czarnych Wężów.

Rozmyślenia te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach – i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słysząc krótki pomruk ciżby: „To on! Tto on!” – i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu palą ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indianin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzono. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów – oznaka wodza – pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orla, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne – a złowrogie. Wodzi on nimi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzeć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głów. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w rękę tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania równowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. Herr Gott! To okrzyk Czarnych Wężów. Ci, którzy wycinali Chiavattę, pamiętają dobrze to straszne wycie – i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulękli się tysiąca tak wyjących wojowników, pocą się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczuł munsztuk – namowa skutkuje, bo po chwili sachem kołysze się już na drucie. Zapatrzony w żyrandol naftowy, postępuje naprzód. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy Indianin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie, chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!... pada! – nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wichur i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku utkwionym w lampy naftowe błyszczy jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu – staje – i niespodzianie z ust jego wyrzywa się pieśń wojenna.

Szczególna rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Wężów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmaga się i potężnieje. Jest to pół śpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żalobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słysząc słowa następujące: „Po wielkich deszczach, co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny lub na wielkie łowy wiosenne. Gdy wracali z wojny, zdobyli ich skalpy; gdy wracali z łowów, przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć Wielkiego Ducha.

Chiavatta była szczęśliwa! Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do srebrnych gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatty byli szlachetnymi mężczyznami. Chiavatta była potężna. Aż przyszły blade twarze zza mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Błdzi wojownicy nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale i noże ich zboczyły się w piersiach uspionych mężów, niewiast i dzieci.

I oto nie ma Chiavatty, bo na jej miejsce biali wzniesli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę”.

Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz, kołysząc się na tym drucie, wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza. Wódz wyl dalej:

„Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło duchowi ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci – pożogę, krew!...” Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęło się do głów. Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? – on? – sam jeden? – zostać czy uciekać? czy się bronić – i jak? – Was ist das? was ist das? – rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakolysał się silniej, wskoczył na drewniany kozioł, stojący pod żyrandolem, i wznosił dąg. Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy: rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóż to? Z areny wołają: stój! stój!... Wódz nie ma! zeskoczył, znikł w wyjściu. Nie spali cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziąjany, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę i wyciągając ją ku widzom, mówi błagalnym głosem: – Was gefällig für den letzten der Schwarzen Schlangen!...

Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora? efekt? Sypią się półdolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów – w Antylopie, na zgliszczach Chiavatty! Ludzie mają serce.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle „Pod Złotym Słońcem”. Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...



Bruno Schulz
1892-1942

Urodził się 12 lipca 1892 roku w Drohobyczu, zmarł 19 listopada 1942 tamże. Wybitny polskojęzyczny pisarz, krytyk literacki, grafik, malarz i rysownik. Przedstawiciel nurtu awangardowego.

Podchodził ze zasymilowanej kupieckiej rodziny żydowskiej. Ukończył gimnazjum w Drohobyczu. Studia na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej przerwał z powodu choroby. Przez jakiś czas studiował malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu oraz na Politechnice Wiedeńskiej. Od 1924 roku pracował jako nauczyciel rysunku, robót ręcznych i matematyki w drohobyckim gimnazjum.

Jego dorobek pisarski jest skromny, ale znaczący. Zadebiutował opowiadaniem „Ptaki” (1933) na łamach „Wiadomości Literackich”. Jest też autorem „Księgi listów” oraz opowiadań i recenzji publikowanych w prasie literackiej. Najważniejsze w jego spuściznie są tomy opowiadań: „Sklepy cynamonowe” i „Sanatorium pod Klepsydrą”. To swoista autobiografia pisarza utrzymana w konwencji poetyki snu, w której zaciera się granica między rzeczywistością a mitem. Poszczególne opowiadania łączy postać głównego bohatera, utożsamianego z pisarzem, oraz inne postacie, w tym jego ojca.

Utwór „Mój ojciec wstępuje do strażaków” (1937) ze zbioru „Sanatorium...” dotyczy wrażeń głównego bohatera z przygotowań jego ojca do akcji strażackiej, którą miał kierować. Była to kolejna rola, w jakiej ojca, bazarza i demiurga, widział oczami dziecka.

Mój ojciec wstępuje do strażaków

W pierwszych dniach października powracaliśmy z matką z letniska, położonego w sąsiednim departamencie kraju, w lesistym dorzeczu Slotwinki, prześączonym źródlanym szmerem tysiąca strumieni. Mając jeszcze w uszach szelest olszyn przetykany świegotem ptaków, jechaliśmy w wielkiej starej landarze, rozrosłej ogromną budą jak ciemną rozłożystą gospodą, stłoczeni wśród tobołków, w głębokiej, aksamitem wyścielanej alkwie, w której karta po karcie zapadały przez okno kolorowe obrazy pejzażu, jakby tasowane powoli z ręki do ręki.

Pod wieczór przyjechaliśmy na wywiany wiatrami płaskowyż, na wielkie, zdziwione rozdroże kraju. Niebo stało nad tym rozdrożem głębokie, zatchnione, obracające się w zenicie kolorową różą wiatrów. Tu była najdalsza rogatka kraju, zakręt ostatni, za którym otwierał się w dole rozległy i późny krajobraz jesieni. Tu była granica i tu stał stary, zmurszały słup graniczny z zatartym napisem i grał na wietrze.

Wielkie obręcze landary zazgrzytały i ugrzęzły w piasku, gadające, migotliwe szprychy umilkły, tylko wielka buda dudniła glucho, łopotiała ciemno w krzyżowych wiatrach rozdroża jak arka osiadła na pustkowiach.

Matka płaciła myto, żuraw rogatki podniósł się, skrzypiąc, potem landara ciężko wjechała w jesień.

Wjechaliśmy w zwiędłą nudę ogromnej równiny, w spłowiałe i blade wianie, które otwierało tu nad żółtą dałą swą błogą i mdłą nieskończoność. Jakaś późna i ogromna wieczność wstawała z wyblakłych dali i wiała.

Jak w starym romansie obracały się żółkle karty krajobrazu coraz bledsze i coraz bezsilniejsze, jakby się miały skończyć jakąś wielką rozwianą pustką. W tej rozwianej nicości, w tej żółtej nirwanie mogliśmy byli zajechać poza czas i rzeczywistość i pozostać już na zawsze w tym krajobrazie, w tym ciepłym jałowym wianiu – nieruchomy dylizans na wielkich kołach, uwięzły wśród obłoków na pergaminie nieba, stara ilustracja, zapomniany drzeworyt w staroświeckim rozsypanym romansie – gdy woźnica ostatkiem sił szarpnął lejce i wyprowadził landarę ze słodkiego letargu tych wiatrów i skrzył w las.

Wjechaliśmy w gęstą i suchą puszystość, w tytoniowe wędnie. Wnet stało się wokół nas zacisznie i brunatnie jak w skrzynce Trabucos. W tym cedrowym półmroku mijaly nas pnie drzew suche i wonne, jak cygara. Jechaliśmy, las ciemniał coraz bardziej, pachniał coraz aromatyczniej tabaką, aż w końcu zamknął nas jak w suchym pudle wionczeli, którą wiatr głucho stroił. Woźnica nie miał zapalek, nie mógł zaświecić latarni. Konie, sapiąc w ciemności, instynktem znajdowały drogę. Klekot szprych zwolniał i przycichł, obręcze kół jechały miękko w pachnącym igliwiu. Matka zasnęła. Czas upływał nie liczony, tworząc dziwne węzły, abrewiatury w swym upływie. Ciemność była nieprzenikniona, nad budą huczał jeszcze suchy szum lasu, gdy grunt zgrużlił się nagle pod kopytami koni w twardy bruk uliczny, wóz skrzył w miejscu i stanął. Stanął tak blisko ściany, że otarł się o nią prawie. Wprost drzwiczek landary matka zmacała bramę domu. Woźnica wyladowywał tobołki.

Weszliśmy do wielkiej, rozgałęzionej sieni. Było tam ciemno, ciepło i zacisznie jak w starej pustej piekarni nad ranem, po wygaśnięciu pieca, albo jak w łaźni późną nocą, gdy opuszczone wanny i cebry stygną w ciemności, w ciszy odmierzanej kapaniem kropli. Świerszcz wypruwał cierpliwie z ciemności złudne szwy światła, nikły ścieg, od którego nie stawało się jaśniej. Omackiem znaleźliśmy schody.

Gdyśmy osiągnęli skrzypiący podest na zakręcie, rzekła matka: – Zbudź się, Józefie, padasz z nóg, jeszcze tylko kilka stopni. – Ale nieprzytomny z senności, przytulilem się mocniej do niej i zasnęłam na dobre.

Nigdy potem nie mogłem się od matki dowiedzieć, ile rzeczywistego było w tym, co widziałem owej nocy przez zamknięte powieki, zmorzony ciężkim snem, wciąż zapadając w głuchą niepamięć, a ile było płodem mojej imaginacji.

Była tu jakaś wielka rozprawa między moim ojcem, matką a Adelą, protagonistką tej sceny, rozprawa o zasadniczym znaczeniu, jak dziś się domyślam. Jeżeli na darmo próbuję odgadnąć jej wciąż wymykający się sens, to winę ponoszą tu zapewne luki mej pamięci, ślepe plamy snu, które usiłuję wypełnić domysłem, supozycją, hipotezą. Bezładny i bezprzytomny odpływałem wciąż na nowo w głuchą niewiedzę, podczas gdy

na zapadle powieki zstępował powiew nocy gwiazdzistej, rozpiętej w oknie otwartym. Noc oddychała w czystych pulsach i nagle zrzucała przejrzywą zaslonę gwiazd, zaglądała z wysoka w mój sen swym starym i wiecznym obliczem. Promień dalekiej gwiazdy uwiłkany w moich rzesach rozlewał się srebrem na ślepym białku oka i przez szczeliny powiek widziałem pokój w świetle świecy zaplątanej w gmatwaninę złotych linii i zygzaków.

Być może zresztą, że scena ta odbyła się kiedyś indziej. Wiele wskazuje na to, że byłem jej świadkiem dopiero znacznie później, gdy wracaliśmy któregoś dnia po zamknięciu sklepu z matką i subiektami do domu.

Na progu mieszkania matka wydała okrzyk zdumienia i zachwytu, subiekci oniemieli olśnieni. Na środku pokoju stał świetny mosiężny rycerz, prawdziwy święty Jerzy wyogromniony kirasem, złotymi puklerzami naramienników, całym dźwięczącym rynsztunkiem polerowanych blach złotych. Z podziwem i radością poznałem nastroszone wąsy i zjeżoną brodę mego ojca, sterzącą spod ciężkiego pretoriańskiego helmu. Pancierz falował na wzburzonej jego piersi, mosiężne pierścienie oddychały szparami jak ciało ogromnego owada. Wyolbrzymiony zbroją w blasku blach złotych podobny był do archistratega zastępów niebieskich.

– Niestety, Adelo – mówił ojciec – nigdy nie miałaś zrozumienia dla spraw wyższego porządku. Wszędzie i zawsze krzyżowałaś moje poczynania wybuchami bezmyślnej złości. Ale zakuty w zbroję, drwię sobie dziś z twego laskotania, którym doprowadzałaś bezbronnego do rozpacz. Bezsilna wściekłość ponosi dziś twój język do godnej pożalowania swady, której prostactwo i niewybredność miesza się z tępotą. Wierz mi, że napelnia mnie ona tylko smutkiem i politowaniem. Pozbawiona szlachetnego polotu fantazji, pałasz nieświadomą zawiścią do wszystkiego, co wznosi się ponad pospolitość.

Adela zmierzyla ojca wzrokiem pełnym bezgranicznej pogardy i zwracając się do matki, rzekła wzburzonym głosem, roniąc mimowolne lzy irytacji: – Zabiera cały nasz sok! Wynosi z domu wszystkie butle z sokiem malinowym, który usmażyliśmy razem tego lata! Chce go dać tym nicponiom pompierom do wypicia. I w dodatku obsypuje mnie impertynencjami. – Adela zaszlochała krótko. – Kapitan straży ogniowej, kapitan urwipolciów – wołała, mierząc ojca nienawistnym spojrzeniem. – Mam ich wszędzie pełno. Rano, gdy chcę zejść po pieczywo, nie mogę otworzyć drzwi. Naturalnie dwóch z nich zasnęło na progu w sieniach i zatarasowało wyjście. Na schodach, na każdym stopniu leży jeden w mosiężnym kasku i śpi. Napraszają się do kuchni, wpychają przez szparę drzwi swe królicze twarze w mosiężnych puszkach, strzygą dwoma palcami jak uczniaki w szkole i skomlą błagalnie: cukru, cukru... Wyrrywają mi z rąk wiaderko i lecą przynieść wodę, tańczą dookoła mnie, mizdrzą się, merdają nieledwie ogonami. Łypią

przy tym raz po raz czerwonymi powiekami i oblizują się wstrętnie. Wystarczy, żebym na którego spojrzęła bystro, a zaraz puchnie mu twarz czerwonym bezwstydnym mięsem jak indykowi. I takim dawać nasz sok malinowy!...

– Twoja pospolita natura – rzekł ojciec – plugawi wszystko, czego się dotknie. Nakreśliłaś obraz tych synów ognia godny twego mialkiego umysłu. Co do mnie, to cała moja sympatia należy do tego nieszczęśliwego rodu salamander, do tych biednych wydziedziczonych istot ognistych. Całą winą tego świetnego ongi rodu było, że oddał się w służbę ludzką, że zaprzedał się ludziom za łyżkę nędznej ludzkiej strawy. Odplacono mu za to pogardą. Tępota plebsu jest bezgraniczna. Doprowadzono te delikatne istoty do najgłębszego upadku, do ostatecznego znikczemnienia. Cóż dziwnego, że nie smakuje im wikt, ten mdły i prostacki wikt, gotowany przez tercjanową szkołę miejskiej we wspólnym kotle dla nich i dla aresztantów miejskich? Ich podniebienie, delikatne i genialne podniebienie duchów ognistych, pożąda szlachetnych i ciemnych balsamów, aromatycznych i kolorowych fluidów. Dlatego tej nocy uroczystej, gdy siedzcie będziemy odświętnie w wielkiej sali Stauropigii miejskiej przy biało nakrytych stołach, w tej sali o wysokich, jasno oświetlonych oknach rzucających blask swój w głąb nocy jesiennej, a dookoła miasto zaroi się tysiącnymi światłami iluminacji, będzie każdy z nas z pietyzmem i smakoszostwem właściwym synom ognia maczał bulkę w pucharze soku malinowego i powoli popijał szlachetny ten i gęsty likwor. W ten sposób pokrzepia się wewnętrzna istota strażaka, regeneruje się bogactwo kolorów, które ten lud wyrzuca z siebie w postaci fajerwerków, rakiet i ogni bengalskich. Dusza moja pełna jest zmiłowania nad ich nędzą, nad ich niezawinioną degradacją. Jeżeli przyjąłem z ich rąk szablę kapitańską, to jedynie w nadziei, że uda mi się podnieść z upadku to plemię, wyprowadzić je z poniżenia i rozpiąć nad nim sztandar nowej idei.

– Jesteś cały odmieniony, Jakubie – rzekła matka – jesteś wspaniały. Nie odejdziesz przecież na noc z domu. Nie zapominaj, że od mego powrotu nie mieliśmy sposobności na dobre porozmawiać ze sobą. Co do pompierów zaś – rzekła, zwracając się do Adeli – to w samej rzeczy wydaje mi się, że kierujesz się jakimś uprzedzeniem. Są to mili chłopcy, chociaż nicponie. Patrzą zawsze z przyjemnością na tych wysmukłych młodzieńców w ich zgrabnych mundurach, nieco zanadto ściągniętych w pasie. Mają wiele naturalnej elegancji i wzruszająca jest ich gorliwość i zapal, z jakim gotowi są każdej chwili usłużyć damom. Ile razy wypadnie mi na ulicy parasolka z ręki, rozwiąże się wstążka bucika, zawsze nadbiega któryś z nich pelen przejęcia i żarliwej gotowości. Nie mam serca rozczarować tych gorących chęci i czekam zawsze cierpliwie, aż przybiegnie i usłuży mi, czym zdaje się być bardzo uszczęśliwiony. Gdy oddała się po dokonaniu rycerskiego obowiązku,

otacza go natychmiast gromada kolegów omawiająca z nim żywo całe zajście, przy czym bohater odtwarza mimicznie, jak wszystko się odbyło. Na twoim miejscu korzystałabym chętnie z ich galanterii.

– Uważam ich za darmozjadów – rzekł starszy subiekt Teodor. – Przecież nie dopuszczamy ich do gaszenia pożaru dla ich dziecinnej nieodpowiedzialności. Wystarczy zobaczyć, z jaką zazdrością przystają zawsze przed grupą chłopców, bawiących się rzucaniem guzików o ścianę, ażeby ocenić dojrzałość ich króliczego umysłu. Gdy dochodzi z ulicy dziki wrzask zabawy, można prawie na pewno, wyjrawszy przez okno, ujrzeć wśród gromady chłopców tych dryblasów zaaferowanych i zgonionych, nieprzytomnych niemal w rozhukaniu gonitwy. Na widok pożarów szaleją z radości, klaszczą w ręce i tańczą jak dzicy. Nie, do gaszenia niepodobna ich użyć. Używamy do tego kominiarzy i milicjantów miejskich. Pozostają tylko zabawy i święta ludowe, przy których są nieodzowni. Na przykład przy tzw. szturmie na Kapitol o ciemnym świcie, jesienią przebiegają się za Kartagińczyków i oblegają z piekielnym hałasem wzgórze Bazyliańskie. Wszyscy śpiewają wówczas Hannibal, Hannibal ante portas.

Przy tym pod koniec jesieni stają się leniwi i ospali, zasypiają, stojąc, a gdy pierwszy śnieg spadnie, nie widać ich na lekarstwo. Opowiadał mi pewien stary zdun, że przy naprawianiu kominów znajduje się ich wczepionych w kanał dymnika, nieruchomych jak poczwarki, w ich szkarłatnych uniformach i lśniących kaskach. Śpią tak, stojąc, upici sokiem malinowym, pełni wewnątrz lepkiej słodyczy i ognia. Wyciąga się ich wtedy za uszy i prowadzi do koszar, pijanych snem i nieprzytomnych, przez poranne jesienne ulice, kolorowe od pierwszych przymrozków, podczas gdy gawiedź uliczna rzuca za nimi kamieniami, a oni uśmiechają się swym zawstydzonym uśmiechem pełnym winy i złego sumienia i ślaniają się jak pijani na nogach.

– Jakkolwiek bądź – rzekła Adela – soku im nie dam. Nie po to psułam sobie cerę przy kuchni, smażąc go, ażeby ci nicponie go wypili.

Zamiast odpowiedzi ojciec mój podniósł gwizdawkę do ust i gwizdnał przeraźliwie. Jak gdyby podsluchiwali u dziurki od klucza, wpadli czterej wysmukli młodzieńcy i uszeregowali się pod ścianą. Pokój rozjaśnił się od blasku ich hełmów, a oni, stanąwszy w wojskowej postawie, ciemni i opaleni pod jasnymi szyszakami, czekali na rozkaz. Na znak ojca dwaj z nich pochwycili z obu stron wielką butlę w plecionce z wikliny pełną purpurowego płynu i nim Adela zdolała im przeszkodzić, już zbiegli z tupotem ze schodów, unosząc łup drogocenny. Dwaj pozostali, oddawszy wojskowy ukłon, oddalili się za tamtymi.

Przez chwilę zdawało się, że Adela da się porwać do czynów niepoczytalnych, takie ognie miały jej piękne oczy. Ale ojciec nie czekał na wybuch jej gniewu. Jednym

skokiem znalazł się na parapecie okna i otworzył ramiona. Pobieśliśmy za nim. Rynek zasiany rzeszście światłami roił się od kolorowych tłumów. Pod naszym domem ośmiu strażaków rozciągało w koło wielkie płótno żaglowe. Ojciec odwrócił się raz jeszcze, zabłysnął całym przepychem rynsztunku, salutując nas w milczeniu, potem z otworzonymi ramionami, jasny jak meteor, skoczył w noc płonąca tysiącem światel. Był to tak piękny widok, że wszyscy w zachwycie klasnęliśmy w dłonie. Nawet Adela, zapominając swej urazy, przyklasnęła temu skokowi, wykonanemu z taką elegancją. Mój ojciec tymczasem zeskokczył elastycznie z prześcieradła i wstrząsnąwszy z chrzęstem blaszane skorupy, stanął na czele oddziału, który, odpadając dwójkami, rozwinął się podczas marszu w długi rząd i oddalał się powoli ciemnym szpalerem tłumy, błyszcząc mosiężnymi puszkami kasków.



Stefan Żeromski (pseud. Maurycy Zych, Józef Katerla)
1864-1925

Urodził się 14 października 1864 w Strawczynie, zmarł 20 listopada 1925 w Warszawie. Powieściopisarz, nowelista, dramaturg, publicysta, uznawany za najwybitniejszego prozaika przełomu XIX i XX wieku, działacz społeczny. Zaliczany do pozytywizmu i Młodej Polski. Czterokrotnie nominowany do Nagrody Nobla.

Pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej. Uczył się w gimnazjum w Kielcach, gdzie utrzymywał się z korepetycji, edukację kontynuował w Instytucie Weterynaryjnym w Warszawie. Z powodów finansowych przerwał studia i podjął pracę, kolejno: nauczyciela w dworach szlacheckich, bibliotekarza w Muzeum Narodowym Polskim w Raperswilu i pomocnika bibliotekarza w Bibliotece Ordynacji Zamojskiej w Warszawie.

Pisać zaczął w gimnazjum, m.in. wiersze, które drukował w czasopiśmie. Podczas studiów publikował w prasie opowiadania, m.in. „Ananke”, „Siłaczka”, „Zmierzch”. W swoich utworach od początku poruszał problematykę społeczną i polityczną, temat walki narodowo-wyzwoleńczej, ciemnoty i krzywdy ludu, rozterki moralne bohaterów walczących o sprawiedliwość. Do najważniejszych jego dzieł należą: „Doktor Piotr”, „Ludzie bezdomni”, „Popioły”, „Przedwiośnie”.

Opowiadanie „Rozdzióbią nas kruki, wrony” (1895) jest swoistym rozrachunkiem Żeromskiego z powstaniem styczniowym. Pisarz poszukuje przyczyn klęski zrywu, ukazuje ucisk polskiej ludności na terenie zaboru carskiego.

Rozdzióbią nas kruki, wrony...

Ani jeden żywy promień nie zdołał przebić powodzi chmur, gnanych przez wichry. Skąpa jasność poranka rozmnożyła się po kryjomu, uwidoczniając krajobraz płaski, rozległy i zupełnie pusty. Leciała ulewa deszczu, sypkiego jak ziarno. Wiatr krople jego w locie podrywał, niósł w kierunku ukośnym i ciskał o ziemię.

Ponura jesień zwarzyła już i wytruła w trawach i chwastach wszystko, co żyło. Obdarte z liści, szerniałe rokiciny żałośnie szumiały, zniżając pręty aż do samej ziemi. Kartofliska, ściernie, a szczególnie role świeżo uprawne i zasiane, rozmiękły na przepaściste bagna. Bure obłoki, podarte i rozczochrane, leciały szybko, prawie po powierzchniach tych pól obumarłych i przez deszcz schlostanych.

Właśnie o samym świcie Andrzej Borycki (bardziej znany pod przybranym nazwiskiem Szymona Winrycha) wyjechał zza pagórków rajgórskich i skierował się pod Nasielsk, na szerokie płaszczyzny. Porzuciwszy zarośla, trzymał się przez czas pewien śladu polnej drożyny, gdy mu ta jednak zginęła w kałużach, ruszył wprost przed siebie, na poprzek zagonów.

Przez dwie noce już czuwał i trzeci dzień wciąż szedł przy wozie. Buty mu się w rzadkim błocie rozciapały tak misternie, że przyszwycy szły swoim porządkiem, podszwycy swoim porządkiem, a bosa stopy w zupełnym odosobnieniu. Bardzo przemókł i przeziął do szpiku kości. Któż by zdołał poznać w tym obdartusie byłego prezesa najweselszej pod księżycem konfraterni tzw. śrubstaków, dawnego Jędrka, króla i padyszacha syren warszawskich? Włosy mu porosły „w orle pióra”, paznokcie „w dzikie

szpony”, chodził teraz w przepoconej sukmanie, żarł chciwie razowiec ze sperką i żłopał gorzałę z taką naiwnością, jakby to była woda sodowa z sokiem porzeczkowym.

Konie były głodne i zgonione tak dalece, że co pewien czas ustawały. Nic dziwnego: koła zarzynały się w błoto po szynkle, a na drabiniastym wozie pod trochę olszowego chrustu, siana i słomy leżało samych karabinków sztuk sześćdziesiąt i kilkanaście pałaszów, nie licząc broni drobniejszej. Były to wcale niezłe szkapy: rosłe, podkasane, prawie chude, ale ze świetnej rasy pociągowej. Mogły jak nic robić dziesięć mil na dobę, byleby im pozwolić dobrze wytchnąć dwa razy i uczciwie je popasać. Konie należały do pewnego szlachetki z okolic Mławy. Stanowiły one znaczną część jego majątku, bo posiadał summa summarum trzy szkapy, jednakże pożyczał ich Winrychowi na każde zapotrzebowanie. Ostatni przychodził zazwyczaj późno w nocy, stukał do okna domostwa – wychodzili obydwaj z gospodarzem, wyprowadzali konie cichaczem, aby nie budzić parobka, wytaczali wóz i jazda! Letnią porą była to rzecz wcale łatwa, owa jazda. We dnie Winrych spał w gąszczach leśnych, a konie się pasły. Teraz niepodobna było ani spać, ani popasać. Winrych liczył na to, że go ktoś zluzuje, zwłaszcza że najuciążliwsze posterunki i przeszkody szczęśliwie wyminął. Ale nie takie to już były czasy... Jeżeli kto jeszcze na tej ziemi walczył w całym i zupełnym znaczeniu tego słowa, to on, Winrych. On jeden jeszcze chodził po broń, jeden nie upadał na duchu. Gdyby nie on, i sama partia byłaby się od dawna rozleciała na cztery strony świata. Przez długi czas tych ludzi ściganych, głodnych, przeziębłych i wylekzionych wspierał swymi szyderczymi półsłowami i podniecał jak chłostą. Teraz, gdy już wszystko runęło na leb w bezdenną jamę trwogi, on się, jak to mówią, zawziął. W miarę tego, jak nie tylko do głębi nastrojów i sumień, ale do podstaw tzw. polityki rewolucyjnej wciskać się poczęła coraz bezczelniej i natarczywiej filozoficzna zasada: *fratres, rapiamus, capiamus, fugiamusque* – on czuł w sobie upór coraz zuchwalszy, coraz straszliwiej bolesny i już prawie szalony...

Gdy tak zmoknięty, głodny i bardzo znużony brnął przy wozie, poczęło, jakoby wraz z zimnem, wsiąkać w niego uczucie nędzy. W kieszeni nie miał już ani okruszyny chleba i ani kropli wódki we flasce. Dziurawe buty, absolutnie wzięte (jeżeli notabene był w nich milimeter rzemienia, zasługujący na to, aby był absolutnie czy tam inaczej brany), nie mogły być przyczyną owego uczucia nędzy. Nie sam głód również i nie samo zimno je wywoływało. Ale po śladach, zostawionych na błocie przez te dziurawe buty, szła za Winrychem ironia spostrzeżeń, owa bieda okrutna, co nie waha się wtargnąć do miejsca świętego świętych, co odważnie, jak plugawy lichwiarz, bierze w szachrajską swą rękę bezcenne klejnoty ludzkiego ducha i drwi z ich wartości, ubierając tę podłość w najłogicześniejsze sylogizmy.

– Wszystko przelajdaczone – szepcze Winrych, pogwizdując – przegrane nie tylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącymi na łbie włosami, i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcji i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważyłby się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbója i zdrajcy, tyle z niego wywleka, na widok publiczny ukażą i ku czci oraz naśladowaniu podadzą. I pomyśleć, że to my taki sprawiliśmy postęp wyobrażeń, ponieważ przegraliśmy...

Mocniej zacisnął pas wełniany, osłonił piersi sukmaną i ruszył dalej, zwiesiwszy głowę. Czasami ją podnosił i mówił przez zęby:

– Psy parszywe!

Deszcz ostry nacichł i siał tylko ów pył wodny, nieustanny, zawieszający tuż przed okiem jakby nieprzejrzystą zasłonę. Podmuchy wiatru szalały dokoła wozu, gwizdały między szprychami, wydymały długie poły sukmany i targaly koszulę na Winrychu.

Za zasłoną mgły dał się nagle postrzec jakiś ruch jednostajny, równoległy do ledwie widocznego horyzontu. Mógł to być szereg wozów, stado bydła, albo – wojsko.

Winrych patrzył przez chwilę, przymrużywszy powieki. Doznawał takiego wrażenia, jakby ktoś zagiął palec pod żyłę krwionośną w jego piersiach i wydierał ją na zewnątrz.

– Moskale... – wyszeptał.

Dał koniom po siarczystym bacie, ściągnął lejce, zawrócił prawie na miejscu i zaczął uciekać. Nie chciał, a raczej nie mógł odwrócić głowy, ażeby się obejrzeć poza siebie i zbadać, co się tam dzieje. Zdawało mu się, że umknie na bok niepostrzeżony. Nieszczęście chciało, że miejsce było gołe i puste w promieniu wiorst kilku.

Uciekający wóz spostrzeżono. Z szeregów postępującego wojska odlamala się grupa jeźdźców, wysunęła przed front i pomknęła co koń skoczy. Winrych, patrząc już na to zjawisko, nie mógł zrozumieć, czy ci ludzie sadzą ku niemu, czy się oddalają w kierunku przeciwnym. Dopiero zobaczywszy chorągiewki przy schylonych lancach i łby końskie, zorientował się dobrze. Wtedy krew szarpiąca się w jego pulsach – jakby stężała i stanęła w biegu... Zatrzymał konie, omotał dokoła luśni parciane lejce i namyślał się, co wywlec z wozu do obrony: pałasz czy sztucer nienabity?

Zanim wszakże cokolwiek przedsięwziąć zdołał, machinalnie zbliżył się do zmordowanych koni swoich i zaczął jednemu z nich zdejmować kantar ze łba i ściągać chomąto, jakby z zamiarem puszczania na wolność tych towarzyszków niedoli. Czyniąc to, na chwilę przytulił się do szyi końskiej i westchnął.

Ośmiu ułanów rosyjskich na pięknych koniach dopadło wozu i w mgnieniu oka ze wszystkich stron go otoczyło. Jeden z nich, nie mówiąc ani słowa, począł zrzucić lanca suche gałęzie oraz snopki kłoci i sondować głąb wozu.

Gdy grot dźwięknął, uderzywszy o lufy sztucerów – żołnierz poklepał Winrycha po ramieniu i mrugnął na towarzyszków. Tamci sięgnęli po karabinki założone na plecy. Winrych stał na miejscu jak przedtem, obejmując ramieniem kark konia. Usta mu się skrzywiły wzgardliwie i w sercu zsiadło nie to męstwo, lecz pogarda bezbrzeżna, pogarda wszystkiego na tej ziemi.

– Ty do czyjej partii to wiozłeś? – zapytał go ów rewidujący.

– Głupiś! – odrzekł Winrych, nie podnosząc głowy.

– Do czyjej partii to wiozłeś? Słysz, polaczyszka!

– Głupiś!

– To nie chłop – rzekł do podwładnych starszy z naszywką na ramieniu – to powstaniec.

– Głupiś! – rzekł Winrych, patrząc w ziemię.

– Bierz psiego syna! – wrzasnął żołdak.

Dwu z nich odsadziło się natychmiast o kilkadziesiąt kroków i szybkim ruchem nastawiło lance poziomo. Skazany spojrział na nich, gdy mieli ukłuć konie ostrogami, i zaraz, jak małe dziecko, zaslaniając głowę rękami, cichym, szczególnym głosem wymówił:

– Nie zabijajcie mnie...

Zerwali się w skok z miejsca zgodnym susem i wraz go przebili. Jeden ohydnie rozplatał mu brzuch, a drugi złamał dekę piersiową. Trzeci ułan odjechał o kilkanaście kroków i gdy dwaj pierwsi, wyrwawszy lance i splunawszy, usunęli się na bok, wziął na cel głowę powstańca. Pociągnął za cyngiel wtedy właśnie, gdy nieszczęsny zsunął się w brudę. Kula, przesywszy czaszkę naręcznego konia, zabiła go na miejscu. Zwierzę stęknęło żałośnie i padło bez tchu na nogi konającego Andrzeja. Żołnierze zsiadli z koni i zrewidowali puste kieszenie sukmany. Rozgniewani o to, że Winrych wypił wszystką gorzałkę, rozbili butelkę na jego czaszce i podarli mu ostrogami policzki. Na głos sygnału, wzywającego ich do powrotu, wskoczyli na siodła i nabrawszy z wozu po kilka sztuk dobrych pałaszów belgijskich, odjechali za oddziałem, który zanurzył się już we mgłę i szarugę. Dowódca szwadronu ścigał forsownie jakiś topniejący oddziałek powstańcy, toteż nie miał czasu zawrócić po broń zostawioną w polu na wozie Winrychowym.

Tymczasem deszcz rześisty puścił się znowu i na małą chwilę ocucił powstańca.

Powieki jego, zaciśnięte przez ból i popłoch śmiertelny, dźwignęły się i oczy po raz ostatni zobaczyły obłoki. Usta mu drgnęły i wymówiły do tych chmur szybko pędzących ostatnią myśl:

– ...Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Wielka nadzieja nieśmiertelności ogarnęła umierającego niby przestrzeń bez końca. Z tą nadzieją w sercu umarł.

Głowa jego wygniotła w błocie dołek, do którego teraz spływać poczęły maleńkie strumyki i tworzyły coraz większą kałużę. Krople, trzepiąc w nią, wzbijały duże, wysoko wzdęte bańki, rozpryskujące się w nicość tak szybko i zupełnie, jak ludzkie święte złudzenia. Zabity koń stygl szybko na zimnie, a pozostały przy życiu szarpał się w zaprzęgu tak gwałtownie, jakby go kto smagał rzemiennym batem. Nagle przechylił się przez dyszel, przez martwego towarzysza i obwąchał głowę Winrycha. Skoro poczuł trupa, ślepie mu krwią nabiegły, grzywa na karku wzburzyła się dziko, szarpnął się w tył, potem cisnął naprzód całym korpusem, bił nogami w ziemię i wierzgał na wszystkie strony w takiej furii, że tylna jego noga wpadła między szprychy przedniego koła wozu. Szarpnął ją z całej mocy i okropnie złamał powyżej pęciny. Ból wprawił go we wściekłość tym większą. Rozjuszony, wścieklymi skokami rzucać się począł. Kość pękła na dwoje w taki sposób, że ostry i jak nóż spiczasty jej kawałek przebił skórę i coraz bardziej, wskutek targania, ją okrawał.

Dopiero nazajutrz rano pluchota bić przestała, choć wiatr wcale nie ucichł. Chmury leciały wysoko, poprzedzielane głębiami cieniów o kształtach dziwacznych. Pod wiatr i jakby na spotkanie obłoków ciągnęły już stadami, już pojedynczo kruki i wrony. Podmuchy wichrów odnosiły je i odpychały na powrót, nieraz zabawnie wylamywały im skrzydła do góry albo kamieniem ciskały ku ziemi. Nad padliną w polu leżącą ptactwo krążyć poczęło, zniżało lot usilnie i po długim mocowaniu się z wichurą siadało na zagonach z daleka.

Koń żyjący wciąż stał ze złamaną nogą, zamkniętą między szprychami. Wyciągnąć jej dla wielkiego bólu już nie usiłował. Obnażona kość przy każdym poruszeniu zaczęła się o drzewo i krajała skórę.

Ujrawszy wrony, powolnymi kroki, z nogi na nogę postępujące ku wozowi, koń zarżał. Zdawał się wołać na ludzi osiadłych, na plemię ludzkie:

– O ludzie nikczemni, o rodzie występny, o plemię morderców!...

Krzyk ten rozlegał się nad pustą okolicą i ginął w szalonym głosie wiatru, tylko na chwilę wstrzymując postęp trupojadów. Wrony z wielką rozważą, taktem, statkiem, cierpliwością i dyplomacją zbliżały się, przekrzywiając głowy i uważnie badając stan rzeczy. Szczególnie jedna zdradzała największy zasób energii, żądy odznaczenia się czy nienawiści. Było to może zresztą po prostu namiętne odczuwanie interesów własnego dzioba i żołądka, czyli, jak przywykliśmy mówić, odwagi (co „było dawniej paradoksem, ale

w nowszych czasach okazało się pewnikiem”...). Przymaszerowała aż do nozdrzy zabitego konia, z których sączył się jeszcze sopel krwi skrzeplej, okrytej błoną rudawą. Bystre i przenikliwe jej oczy dojrzały, co należy. Wtedy bez namysłu skoczyła na głowę zabitej szkapy, podniosła leb do góry, rozkraczyła nogi jak drwal zabierający się do rąbania, nakierowała dziób prostopadle i jak żelaznym kilofem palnęła nim martwe oko trupa. Za przykładem śmiałej wrony ruszyły się jej towarzyszki. Ta preparowała żebro, inna szczypała nogę, jeszcze inna rozrabiała ranę w czaszce. Najbardziej przecież ze wszystkich odznaczyła się ta (należy jej się tytuł „tej miary”), co zapragnęła zajrzeć do wnętrza mózgu, do siedliska wolnej myśli i zupełnie je zeżreć. Ta wstąpiła majestatycznie na nogę Winrycha, pomaszerowała po nim, dotarła szczęśliwie aż do głowy i poczęła dobijać się zapamiętałe do wnętrza tej czaszki, do tej ostatniej fortecy polskiego powstania.

Nim wszakże skosztowała warcholskiego mózgu i zdążyła osiągnąć tzw. tytuł do sławy, spłoszył ją nowy przybysz, co zbliżał się niespostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej, szarej bestii. Nie był to wcale poetyczny szakał, lecz człowiek ubogi, chłop z wioski najbliższej. Na działku, który odtąd miał do niego należeć na zawsze, znalazły się trupy – siedł tedy zabrać je stamtąd.

Bał się srodze Moskali, toteż prawie pełzał na czworakach. Palila go żądza pouciania rzemieni i podniecała słodka nadzieja znalezienia jeszcze, pomimo lustracji żołnierskiej, żelastwa, postronków i odzieży na trupie. Stanąwszy wreszcie nad zwłokami Winrycha, począł kiwać głową i wzdychać – potem ukląkł na ziemi, zdjął kaszkiet, przeżegnał się i zmówił głośno pacierz.

Wyrzekłszy ostatnie amen, już z blyskiem pożądlivości w oczach, rzucił się przede wszystkim do kieszeni i zanadza i począł szukać trzosa. Nic tam już nie znalazł. Obdarł tedy trupa z sukmany, szmat zgrzebnych, zzuł mu buty, zabrał nawet zbłocone onuczki, owinał tymi lachmanami część broni i szybko się oddalił. Po upływie godziny wrócił, aby zabrać resztę zdobyczy. Około południa przyprowadził parę koni i wyprzął konia kalekę. Obejrzawszy jak najstaranniej jego przetraconą nogę, przyszedł do wniosku, że jest zepsuta zupełnie. Trzeba było szkapę na nic niezdatną udusić. Złożył jej też, nie zwlekając, linkę na kark, przywiązał ją do wagi od orczyków, wlokącej się za parą jego koni, plunął w garść i popędził je, tnąc z całej mocy. Konie nagle szarpnęły, pętlica zdusiła gardziel skazańca i zwała go na ziemię. Za chwilę jednak moriturus zerwał się i pobiegł cwalem za ciągnącą go parą, stąpając ostrym szpicem nagiej pieszczeli po błocie i po kamieniach.

Chłop spojrzal i aż zakrył sobie oczy z obrzydzenia. Zaraz odwiązał linkę i dał pokój egzekucji. Zaprzął konie do wozu i odjechał. Po południu zjawil się z kozikiem i zdjął

skórę z konia zastrzelonego przez ulanów. Została tylko do usunięcia skóra na koniu jeszcze żywym. Chłopowina medytował, roztrząsał sprawę i rozpatrywał ją z rozmaitych punktów. Mógłby zdechlaka zarznąć kozikiem i załatwić całą rzecz za jednym zamachem, ale nie chciało mu się „paprąć” moralnie i fizycznie. Z drugiej strony – bał się nie na żarty, aby ktoś w nocy nie zakradł się cichaczem, nie zatłukł szkapy i skóry z niej nie ściągnął. Koniec końców, tknięty jakimś skrupulem, rzekł do leżącej:

– Ej – a dychaj se tu... I tak na jutro na rano kopyta wyciągniesz. Spracowałem się! Pan Jezus miłosierny pobłogosławił mnie grzesznemu... Może i nikt nie widział, może i nie przyjdzie po skórę. Dobre i to. Dychaj se tu, niebogo, dychaj...

Na uboczu względnie do tego kierunku, w jakim zdążył Winrych, były w równym polu doły kartoflane. Ponieważ okazało się, że grunt przepuszczał wodę do wnętrza tych dworskich piwnic zimowych, więc przeniesiono je w inne miejsce, a jamy owe chwastem zarosły. Krzaki berbersysu zagaiły ich dno i ściany. Belki ocembrowania pozapadały się wraz z bryłami gliny, tworząc lochy i katakumby, pełne teraz wodnistego błota. Do jednej z tych dziur zaciągnął włościanin nad wieczorem trupa powstańca i zwłoki konia obdarłego ze skóry. Zepchnął je pospołu do jednego lochu, uwikłał żerdzią między dylami i zielskiem i narzucił z wierzchu trochę gliny, aby tego żeru wrony nie wytropiły.

Tak bez wiedzy i woli zemściwszy się za tyłowieczne niewolnictwo, za szzerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i cierpienie ludu, siedł ku domowi z odkrytą głową i z modlitwą na ustach. Dziwnie rzewna radość zstępowała do jego duszy i ubierała mu cały widnokraj, cały zakres umysłowego objęcia, całą ziemię barwami cudnie pięknymi. Głęboko, prawdziwie, z całej duszy wielbił Boga za to, że w bezgranicznym miłosierdziu swoim zesłał mu tyle żelastwa i rzemienia...

Nagle w śmiertelnej ciszy jesiennego zmroku przeleciało nad ziemią rozpaczliwe końskie rżenie. Chłop się zatrzymał i nakrywszy oczy dłonią od blasku, patrzył pod zachód słońca.

Na tle zorzy liliowej widać było konia, wspartego na przednich nogach. Motał lbem, wykręcał go w stronę grobu Winrycha i rżał.

Trzępały się nad tym żywym trupem, wlatywały, spadały i krążyły wron całe gromady. Zorza szybko gasła. Zza świata szła noc, rozpacz i śmierć.

Spis treści

Maria Konopnicka Dym	7
Eliza Orzeszkowa Dobra pani	15
Bolesław Prus Katarynka	45
Władysław Stanisław Reymont Orka	57
Henryk Rzewuski Sawa	65
Henryk Sienkiewicz Sachem	77
Bruno Schulz Mój ojciec wstępuje do strażaków	85
Stefan Żeromski Rozdzióbią nas kruki, wrony... ..	93

